

MARLIESE AROLD

CHCĘ ŻYĆ!

Historia Nadine - nosicielki wirusa HIV

Tytuł oryginału *Ich will doch leben!*

Kiedy opuściłam budynek sali gimnastycznej, oślepiły mnie promienie słoneczne. W powietrzu wyczuwało się już wyraźnie zapach wiosny.

Po zaduchu, jaki panował w przebieralni, z ulgą zaczerpnęłam świeżego powietrza. Przed nami zawsze miały trening maluchy i, sądząc po zapachu, dzieciaki ani się nie myły, ani też nie zmieniały skarpetek.

Przewiesiłam torbę przez ramię i zaczęłam rozglądać się za Markiem. Obiecał odebrać mnie po treningu siatkówki. Z niewielkiego dziedzińca było dokładnie widać całą ulicę. Marka jednak nie zauważyłam.

Może coś go zatrzymało? A to jeszcze nie powód, żeby dramatyzować. W każdym razie wczoraj wieczorem nastąpił wyraźny postęp w naszych wzajemnych relacjach. Poszliśmy do kina, a po seansie wstąpiliśmy do greckiej knajpki na tzatziki. Potem Marek odprowadził mnie do domu i przed wejściem na klatkę schodową pocałował w usta. Akurat w najlepszym momencie zaskrzypiały drzwi i wyszedł pan Kuhn, nasz dozorca. Wyprowadzał swojego cherlawego jamnika. Ten mały złośliwy czort na nasz widok od razu zaczął ujadać. No i cudowny nastrój, niestety, prysł!

Ciągle nie widać Marka! Czyżby się rozmyślił? Miał na to, bądź co bądź, szesnaście godzin. Może w ogóle nie traktuje znajomości ze mną poważnie? Albo nie chce, bym po wczorajszym wieczorze obiecywała sobie za dużo.

Do licha! Marek to ciężki orzech do zgryzienia. Trwało przecież trochę, zanim w końcu zwrócił na mnie uwagę. Jednak to jedyny chłopak, który mnie interesuje.

Po zerwaniu z Florianem wydawało mi się, że już nikt nigdy mi się nie spodoba. Opuściłam sobie przyjemne mrowienie w okolicy żołądka, pojawiające się zawsze na widok Floriana. Jednakże kiedy na imprezie u Majki poznałam Marka, mrowienie wróciło. I to ze zdwojoną siłą! Miałam wrażenie, jakbym obudziła się po długim zimowym śnie. Moje zmysły znów odbierały bodźce - świat wydał mi się większy, piękniejszy i bardziej kolorowy. Przeżywałam wszystko intensywniej. Majka uważała, że najwyższy czas na to. Zaczęła się już obawiać, że skończę w klasztorze, a tego nie był wart żaden chłopak.

Jednakże dziś najwidoczniej Marek nie przyjdzie. Postanowiłam dać mu jeszcze pięć minut, więc spacerowałam przed halą. Nie ma nic głupszego niż czekać, kiedy właściwie przeczuwa się, że ten ktoś już się nie zjawi.

Z budynku wyszła Kim.

- Hej, Nadine, czekasz na kogoś?

- Chyba widać!

- Masz taką smutną minę. Nie przyjdzie?

- Na to wygląda.

Kim umocowała swoją torbę do bagażnika i odpięła blokadę roweru.

- Marek?

Skinęłam głową. Byłam tak wściekła, że nawet nie zdziwiło mnie, skąd koleżanka wie o Marku. Nowinki zawsze rozchodziły się błyskawicznie w naszej drużynie, a zwłaszcza dotyczące tego, kto z kim chodzi i kto się w kim zadurzył.

- Nie złość się.

Kim, gotowa do drogi, wsiadła na rower - stała tak, podpierając się nogą.

- Łatwo ci mówić - mruknęłam. Oczywiście, że się złościłam. Niech mi pokaże tego, kto się nie gniewa, jeśli zostanie wystawiony do wiatru! Pomyśleć, jak bardzo cieszyłam się na to spotkanie! Na treningu byłam rzeczywiście w szczytowej formie. Każdą piłkę przyjął. Widać, stan zakochania dopinguje mnie.

Potażałam bolące, zaczerwienione nadgarstki. Podczas gry w ogóle nie czułam bólu.

- Byłaś dzisiaj fantastyczna - zauważyła koleżanka, jakby czytała w moich myślach.

Wzruszyłam ramionami. Co mi po sukcesach sportowych, kiedy serce boli? Marku, gdzie jesteś? Co zamierzasz? Najpierw całujesz, a potem zmykasz cichaczem?

- Nic z tego nie rozumiem - powiedziałam na głos. - Serio! Dlaczego obiecuje coś, czego nie może dotrzymać? Dlaczego mówi, że po mnie przyjdzie, a potem go nie ma? Cholera!

Kim rzuciła mi współczujące spojrzenie. - Przykro mi.

Pięć minut upłynęło. Sorry, Marku, ale nawet jeśli wpadłbyś tu teraz tanecznym krokiem, jest już za późno. Pewnie wymyślisz sobie jakąś dobrą wymówkę, tłumacząc swoje spóźnienie.

Niechętnie wyciągnęłam rower ze stojaka. Nacisnęłam z całej siły na pedały. Można by pomyśleć, że nie wyszalałam się dostatecznie podczas gry w siatkówkę.

Kim jechała za mną. Wracałyśmy mniej więcej tą samą drogą do domu. Przy alejce klonowej ochłonęłam nieco. Ulica była tu zbyt stroma, nawet jak na rower z przerzutkami. Zeskoczyłam z siodełka.

- Kto swój rower kocha, ten go pcha - zasapała Kim.

- Jasne - zgodziłam się. - A kto kocha... - urwałam, szukając odpowiedniego rymu. Jednak nie znalazłam i dokończyłam: - ten sam sobie winien!

- Aż tak źle? - spytała. Kim jest ładna, ma śniadą karnację, ciemne brwi, pełne usta i

czarne loki. Do tego superfigura: szczupła, wysportowana. Jej biust jest nie za mały i nie za duży, taki w sam raz. Wszystko na swoim miejscu. Zazdrozczę jej urody.

- Wystarczająco, jeśli ktoś cię zostawi na lodzie, to nie spływa to po tobie jak po kaczcze.

- Tak ci zależy na Marku? - dopytywała się.

Jasne, że chciała wiedzieć, jak się nam układa. Gdyby to jej dotyczyło, ja też w równym stopniu byłabym ciekawa. Mam za swoje. Wścibiałam nos w cudze sprawy, to teraz inni interesują się moimi!

- Nawet go lubię - przyznałam.

Kim i ja nie byłyśmy aż tak zaprzyjaźnione, żebym jej wyznała, że od dłuższego czasu uważam Marka za kogoś więcej niż tylko za dobrego kolegę. Oczywiście to nie było tak, że po aferze z Florianem zupełnie zamknęłam się w sobie. Wręcz przeciwnie, chodziłam na imprezy, poznawałam fajnych chłopaków, tańczyłam z nimi, flirtowałam, umawiałam się do kina, z niektórymi nawet się całowałam, ale to wszystko. Nie spotkałam nikogo, z kim mogłoby łączyć mnie coś więcej niż tylko luźna znajomość. Do czasu, aż poznałam Marka.

- Ja też zawsze się zakochuję w niewłaściwych chłopakach - przyznała Kam, głęboko wzdychając. - Ci, którzy się we mnie podkochują, zupełnie mnie nie interesują. A ja tracę głowę dla tych, którzy są już w stałych związkach albo myślą tylko o komputerze lub samochodach.

Nigdy by mi nie przyszło na myśl, że taka atrakcyjna dziewczyna jak Kim ma tego typu problemy.

Szczerze mówiąc, tak naprawdę nie byłam gruba. Złościło mnie tylko to, że musiałam wciskać się w spodnie o rozmiarze czterdzieści, kiedy na innych luźno wisiała już trzydziestka szóstka. Przynajmniej wzrost (metr siedemdziesiąt pięć) dawał mi czasami poczucie wyższości nad moim nauczycielem matematyki. On mierzył zaledwie metr sześćdziesiąt dziewięć. Z pryszczami, na szczęście, od jakiegoś czasu było lepiej. Pojawiały się teraz głównie tuż przed miesiączką. Najbardziej złościły mnie jednak moje jasne rzęsy. Może dlatego, że jeden z mych licznych kuzynów rozpowiadał, iż podczas urlopu w gospodarstwie agroturystycznym odkrył na łące stado krów, które miały dokładnie takie same rzęsy jak ja: długie i jasnoblond. No i narodził się nowy dowcip. Nadine o krowich oczach! Miałam ochotę udusić kochanego kuzynka!

Ach tak, było coś jeszcze, co mi przeszkadzało: blizna po operacji wyrostka robaczkowego. Wyglądała tak, jakby lekarzom przy cięciu obsunął się skalpel. Na szczęście nie była widoczna spod bikini - tylko, gdy byłam naga. Tak więc, poza Florianem, z którym

się kochałam, żaden inny chłopak jej jeszcze nie widział.

Florian! Blizna zawsze będzie mi przypominać o tym, gdzie się poznaliśmy: w szpitalu. Kiedy leżałam na stole operacyjnym i lekarze cięli moją ślepą kiszkę, jego właśnie przewieźli z ostrego dyżuru na normalną salę. Najgorsze miał już za sobą. Niewiele brakowało, a jego wypadek na motorowerze mógł zakończyć się tragicznie.

Nadal czułam ukłucie w sercu na samą myśl o tym. Jak ja kochałam Floriana! A jak często się ze sobą kłóciliśmy! Czasami było nam razem tak dobrze. A już na drugi dzień skakaliśmy sobie do oczu. Raz niebo, raz piekło - i tak ciągle. Florian potrafił być taki delikatny i czuły, a potem miał fazę, kiedy stawał się arogancki i nie do zniesienia. Spędzałam całe dni tylko z nim. A później zaczynałam tęsknić za koleżankami, za głośną muzyką i zabawą. Florian nienawidził tańczyć. Kiedy mimo to czasami udało mi się go zaciągnąć na imprezę, potrafił cały wieczór nie odezwać się ani jednym słowem. Potem robiliśmy sobie nawzajem wyrzuty. Bardzo się od siebie różniliśmy.

Ja - typowa dusza towarzystwa, a Florian to po trosze odludek i dziwak, co zawsze było powodem konfliktów.

Może nie bez znaczenia jest tu fakt, że jego ojciec jest z zawodu egiptologiem. Dlatego rodzina wiele czasu spędzała za granicą, a Florian ciągle zmieniał szkoły. Nawet czas ich pobytu w Niemczech był z góry ograniczony. Jego tato przez kilka semestrów wykładał gościnnie na tutejszym uniwersytecie. Od pół roku znów całą rodziną przebywali w Egipcie, a Florian zamieszkał w internacie w Kairze. Zerwaliśmy ze sobą na długo przed jego wyjazdem. Po prostu nie układało się między nami, za często się kłóciliśmy. Zdecydowaliśmy, że pozostaniemy jedynie dobrymi przyjaciółmi. Jednak nie tak łatwo wrócić do przyjaźni, kiedy zasmakowało się miłości. Bardzo cierpiałam tuż po naszym rozstaniu. Florian pewnie też to przeżywał na swój sposób. Rzadko zwierzał się ze swych uczuć. O to też zawsze się kłóciliśmy.

Od kiedy dzieliły nas tysiące kilometrów, owo ukłucie w sercu odczuwałam coraz rzadziej, choć czasem jeszcze dawało o sobie znać. Tak jak teraz. Odgoniłam od siebie myśl o Florianie. Nie wolno rozdrapywać starych ran.

- Fantastyczna pogoda - odezwała się Kim, przerywając moje rozmyślenia. Mrugnęła do mnie. - Robisz coś dziś wieczorem? W kinie leci fajny film.

- Nie wiem - skrzywiłam się. - Byłam tam wczoraj. Z Markiem.

Kolejna rana.

- I co, jest coś wart? - chciała wiedzieć koleżanka.

- Masz na myśli Marka czy film?

Kim odrzuciła do tyłu głowę i parsknęła gromkim śmiechem. Super jej to wychodziło, jej śmiech był naprawdę zaraźliwy. Gdybym była chłopakiem, od razu bym się zakochała w Kim, już chociażby z tego jednego powodu. Przyłączyłam się do niej.

- Marek mnie nie interesuje - odezwała się po chwili, ocierając z twarzy łzy, które napływały jej podczas zanoszenia się śmiechem. - Przynajmniej na razie nie.

Cały czas czekała.

- Ależ proszę bardzo, możesz go sobie wziąć. Podaruję ci go.

- Nie jest w moim typie. - Kim spojrzała na mnie, poważniejąc w jednej chwili. - Może powinnaś dać mu jeszcze jedną szansę?

Niezdecydowana, wzruszyłam ramionami. - Może. Nie wiedziałam jeszcze, co zrobię. W tej chwili byłam po prostu zbyt rozgoryczona.

- Kiedy kocham, zbyt łatwo daję się wykorzystywać - przyznała głucho koleżanka.

- To źle. Ciagle ktoś cię będzie spychał na drugi plan.

- Wiem - odparła Kim, spoglądając na czubki swoich butów. - Ale to tak głęboko we mnie siedzi. To kwestia wychowania. Zawsze myślę tylko o tym, by sprawić przyjemność chłopakowi.

- Kosztem siebie? - spytałam powątpiewająco. - Nawet o tym nie myśl! Nie zgadzaj się więcej na to!

- Ach, Nadine. - Kim znów się zaśmiała i pokręciła głową.

- Akurat w tym momencie to i tak nie jest palący problem. No i co, podobał ci się film?

- Głupoty. Najlepsze w nim było to, że skończył się po osiemdziesięciu siedmiu minutach.

Akcja była dość zagmatwana. Gdzieś tak w połowie seansu straciłam wątek. Pewnie dlatego, że za bardzo skoncentrowałam się na Marku. Nasze ramiona były blisko siebie, jednak nie dotykały się. Powietrze wokół nas zdawało się iskrzyć. Chętnie bym się dowiedziała, jakie procesy chemiczne wtedy zaszły. Niestety, tego nie ma w programie nauczania.

Między nami wyczuwało się pewien rodzaj napięcia, jak przed burzą. Ledwo mogłam to znieść. A Marek nie zrobił nic, by zakończyć ten stan oczekiwania! W którejś chwili zdobyłam się na odwagę i położyłam rękę na jego dłoni. Cała drgałam z emocji. Chyba podobnie czuje się człowiek, kiedy dotknie kabla elektrycznego.

Z reszty filmu niewiele zapamiętałam, ale nie żałuję tego. To, że Marek w końcu objął mnie i przyciągnął do siebie, było dla mnie o wiele ważniejsze. A teraz taka porażka! Nie

mogę go zrozumieć. Czy cała sprawa była dla niego jasna, zanim między nami zaczęło się coś na serio? Czy, podobnie jak Kim, zakochiwałam się w niewłaściwych chłopakach?

- Wpadniesz do mnie jeszcze na chwilę? - zaproponowałam jej, kiedy dojechaliśmy do skrzyżowania, na którym rozchodziły się nasze drogi.

Kim pokręciła przecząco głową. - Chętnie, ale innym razem. Muszę pouczyć się jeszcze słówek do klasówki. Trzymaj za mnie kciuki jutro o dziesiątej.

- Jasne - obiecałam. Kim chodziła do równoległej klasy, do XI c.

- Cześć, Nadine! - Wskoczyła na rower, odwróciła się jeszcze do mnie i pomachała na pożegnanie. - I nie złość się już na Marka!

Wstawiłam rower do garażu. Był pusty. Widocznie mama znów została po godzinach w banku. Tato zawsze wracał z pracy później od niej. Zaczęłam szukać klucza w torbie. Nasze mieszkanie na drugim piętrze było jasne i przestronne, a z balkonu rozpościerał się „zachwycający” wprost widok na długi ciąg garaży i na śmietnik. Rodzice często marzyli na głos o domku otoczonym zielenią.

Najpierw poszłam do kuchni, żeby sprawdzić, co jest w lodówce. Po treningu zawsze chciało mi się strasznie pić. Znalazłam tylko wodę mineralną i napoczęty napój witaminowy, za którym od kilku tygodni przepadała mama. Zdecydowałam się na wodę i, nie po raz pierwszy zresztą, nie zadałam sobie trudu, by użyć szklanki. Potem zdjęłam adidas i stwierdziłam ze złością, że od prawego odchodzi podeszwa. Znowu trzeba płacić za nowe. Skrzywiłam się na tę myśl. No, proszę. Wszystko pasuje jak ulał. Zniszczony but, zniszczona miłość!

Kiedy jednak mój wzrok padł na tablicę korkową, serce zabiło mi mocniej. Wisiał na niej list do mnie, z dużym, kolorowym egipskim znaczkiem!

Florian napisał!

Przez jedną bezsensowną chwilę byłam przekonana, że Florian wraca z Egiptu i w liście prosi mnie, żebyśmy dali sobie jeszcze jedną szansę.

Zrobiło mi się gorąco. Potem pokręciłam z dezaprobatą głową. Ależ ja jestem głupia! Przecież to nie miało żadnego sensu. Nie trzeba być jasnowidzem, by wiedzieć, że znowu darlibyśmy ze sobą koty. Za bardzo się od siebie różniliśmy. Jak ogień i woda.

Śmieszne, jak z perspektywy czasu idealizuje się pewne sprawy. Ale w końcu Florian był moją pierwszą wielką miłością, a to coś szczególnego.

O rany! Mam siedemnaście czy siedemdziesiąt lat? Zrobiłam się sentymentalna!

Jak zawsze, ucieszył mnie fakt, że się w końcu odezwał.

Minęła wieczność od chwili, gdy po raz ostatni miałam jakieś wieści od Floriana. Na początku listy przychodziły dość regularnie. Pisał w nich, jak wspaniale jest w Egipcie, co nowego odkrył jego tato, jak mu się żyje w internacie i tak dalej. Można powiedzieć: tło kulturowo - historyczne, mniej osobistych wrażeń. Ale taki właśnie był Florian. A potem długo, długo nic, żadnej wiadomości. Napisałam do niego jeszcze dwukrotnie, jednak nie doczekałam się odpowiedzi. Ostatnim razem - na święta Bożego Narodzenia. Wysłałam kartkę z życzeniami: żeby z jednej strony nie pomyślał sobie, że latam za nim, a z drugiej, by dać mu do zrozumienia, że nie zapomniałam jeszcze o naszej przyjaźni - w przeciwieństwie

do niego! Teraz był początek marca.

Kiedy rozrywałam kopertę, poczułam dziwny skurcz w żołądku. Może było to swoiste ostrzeżenie...

Zaintrygował mnie jego chwiejny charakter pisma. A zwykle stawiał bardzo równomierne literki. Pozazdroszczenia godny styl, którego ja nigdy nie osiągnęłam, nawet kiedy się piekielnie starałam. Nagłówek także mnie zadziwił. Zawsze pisał przecież: „Cześć, Nadine!” albo „Hej, Nadine!” Tym razem rozpoczął rzeczywiście bardzo oficjalnie.

Droga Nadine!

Przepraszam! Powinienem byt napisać wcześniej. Jednak nie potrafiłem! Nie chciałem! Ukrywałem się!

„E, no - pomyślałam. - Znow jest w niebezpiecznym nastroju”. Już raz widziałam go w takim mrocznym stanie ducha. Naprawdę się wtedy przeraziłam. Po kłótni z ojcem Florian był przez dwa tygodnie bardzo przygnębiony. Odgrodził się od świata i nie dopuszczał do siebie nikogo, nawet mnie. Nie można było z nim normalnie porozmawiać. Wszystkie moje próby rozweselenia go spęzły na niczym. W końcu pogodził się z ojcem i od tego momentu sytuacja się poprawiła. Nigdy nie udało mi się dowiedzieć, o co obaj tak bardzo się pokłócili. Kiedy tylko delikatnie poruszałam ten temat, Florian robił się uparty jak osioł i nie chciał mi nic zdradzić. Można było oszaleć!

Nadine, nie wiem, jak mam Ci to przekazać. Już tyle razy zaczynałem pisać do Ciebie i za każdym razem odkładałem długopis. Już tyle razy wybierałem Twój numer, a potem odkładałem słuchawkę, bo zabrakło mi odwagi. Jednak dłużej nie mogę zwlekać. Musisz wiedzieć.

Przypominasz sobie mój wypadek na motorowerze? Pewnie wtedy to się stało.

Wszyscy uważali za cud to, że w ogóle przeżyłem. Jednak lekarze, którzy uratowali mi wówczas życie, ponoszą winę za moje obecne nieszczęście. Podarowali mi tylko trochę więcej czasu. Czasami jednak myślę, że może byłoby lepiej, gdybym wtedy umarł.

To brzmiało rzeczywiście dramatycznie. Całkiem nie w stylu Floriana. On zawsze myślał raczej racjonalnie, nie miał skłonności do teatralizowania.

Czytałam dalej.

Najpierw myślałem, że zwyczajnie źle znoszę tutejszy klimat. W końcu wziąłem pod uwagę wszystko możliwe, przewlekłą grypę żołądkową, a nawet raka. Ale nic z tych rzeczy: Nadine, mam AIDS!

Pewnie przetoczono mi wtedy zainfekowaną krew. Nie ma innego wytłumaczenia. Jesteś jedyną dziewczyną, z którą od tamtej pory spałem...

A mężczyznami w ogóle nie interesuję się w ten sposób. Nie dostaje się AIDS ot tak sobie, HIV przenosi się w określony sposób. Dlatego piszę do Ciebie.

Nie mogę pojąć, że mam AIDS. Nadine, boję się, że mogłem Cię zakazić. Wtedy nosiłem w sobie już tego przeklętego wirusa, choć tego nie wiedziałem. Nigdy nie używaliśmy kondomów, kiedy spaliśmy ze sobą, a pigułka chroni tylko przed ciążą, a nie przed wirusem!

Ach, Nadine! Nawet jeśli tak często klóciliśmy się - zwłaszcza pod koniec naszego związku - było nam dobrze ze sobą.

To niemożliwe, żebyś przeze mnie miała tak cierpieć! A może Cię jednak nie zaraziłem. Mam nadzieję, że nie. Proszę, zrób sobie test, Nadine. I napisz zaraz do mnie!

Florian

Poczułam się tak, jakbym dostała obuchem w głowę. Myślę, że na początku nie dotarł do mnie sens tego, co przeczytałam.

Jak Florian wpadł na to, że ma AIDS?

Oczywiście pamiętałam jeszcze o skandalu, o którym jakiś czas temu huczało w prasie: pacjentom zaaplikowano krew zakażoną wirusem HIV. Różne firmy niedbale przeprowadziły niezbędne testy. Rzekomo kilku pacjentów zostało wtedy zainfekowanych wirusem HIV podczas operacji. Pamiętam, że oburzył mnie wtedy brak skrupułów ludzi odpowiedzialnych za tę tragedię.

Trzeba jednak przyznać, że w prasie ukazały się jednocześnie ostrzeżenia przed wywoływaniem niepotrzebnej paniki. Większość zapasów krwi była w porządku. „Dlaczego akurat Florian miałby dostać zakażoną? - myślałam. - Prawdopodobieństwo takiego ryzyka było naprawdę minimalne!”

Im dłużej się nad tym zastanawiałam, tym bardziej nabierałam pewności, że Florian wmówił sobie chorobę. Pewnie rzeczywiście złapał jakąś niegroźną infekcję wirusową albo po prostu czuł się czasami kiepsko. Zdaje się, że w internacie i bez tego niezbyt mu się podobało. Może znów pokłócił się z ojcem. No i pewnie uciekł w chorobę - tak jak to robiła jego matka!

Teraz niemal czułam złość, że mnie wciągnął w swoje sprawy. Florian nigdy nie nauczył się, podobnie jak jego matka, radzić sobie z problemami. Nie potrafił o nich rozmawiać, nie potrafił sam się z nimi uporać, tylko zamykał się w sobie albo po prostu wynajdywał coraz to inne kłopoty. Przerabiałam to już.

Ale żeby zaraz sobie wmówić, że ma AIDS...?! Tym razem Przesadził. Chłopak powinien poszukać sobie dobrego psychiatry. Naprawdę by mu się przydał. Włożyłam list z powrotem do koperty i poszłam do swojego pokoju.

Musiałam przygotować jeszcze referat do szkoły.

3

Wieczorem zadzwonił Marek. Leżałam właśnie w wannie, zanurzona po szyję w pianie, kiedy mama zapukała do drzwi łazienki. - Nadine, telefon do ciebie.

Przekląłam pod nosem, głównie dlatego, że nie mieliśmy aparatu bezprzewodowego.

- Kto dzwoni?

- Marek. Serce zamarło mi w jednej chwili. Akurat udało mi się odegnać myśl o Marku! No, pięknie! Po kilku godzinach raczył sobie przypomnieć o mnie. Nie byłam pewna, czy w ogóle chcę z nim rozmawiać.

- Nie mogę teraz.

- Mam mu powiedzieć, że oddzwonisz? - zapytała mnie mama.

- Powiedz, żeby zadzwonił za pół godziny. Albo lepiej za godzinę, chcę jeszcze wysuszyć sobie włosy - odparłam. Pomyślałam, że nic mu się nie stanie, jeśli się trochę wysili. W końcu mnie zawiódł.

Mama przekazała informację.

Chociaż zostało mi wystarczająco dużo czasu do jego następnego telefonu, nie byłam spokojna. Karuzela myśli, którą udało mi się zatrzymać, znów zaczęła się kręcić. Dlaczego nie dotrzymał słowa? Czego ode mnie teraz chce? Naprawdę mnie lubi, czy tylko zwodzi?

Suszac włosy, przekartkowałam nowy numer magazynu telewizyjnego i zaraz natknęłam się na artykuł o AIDS. Pewien chory opowiadał o swoich cierpieniach. Pobieźnie przeczytałam tę historię. Opisano ją w sensacyjny sposób, typowy dla tego rodzaju pisemek. Rolf K. (nazwisko zmienione przez redakcję) jest homoseksualistą i zawsze, za wszelką cenę, starał się ukryć swoje preferencje seksualne przed otoczeniem. Dopiero gdy jego przyjaciel w strasznych cierpieniach zmarł na AIDS, a u niego samego wykryto tę chorobę, zebrał się na odwagę, by powiedzieć prawdę. Musiał walczyć z wieloma uprzedzeniami. Przyjaciele odsunęli się od niego, nawet rodzice go wyklęli, kiedy dowiedzieli się, co jest przyczyną jego choroby. Historia - prawdziwy wyciskacz łez. Ale jakoś nie mogłam oderwać od niej wzroku. Na koniec notka: „AIDS dotyczy dzisiaj każdego. Na nic się zda zamykanie oczu na problem. Obecnie choroba zaczyna dotyczyć coraz więcej osób heteroseksualnych. AIDS nie jest już chorobą jedynie pewnej marginalnej grupy”.

Zamknęłam czasopismo. Artykuł był w sam raz napisany pod Florianą. Jeszcze by podsycił jego obawy.

Usłyszałam dźwięk aparatu. Poczekalam, aż zadzwoni cztery razy. Marek nie może myśleć, że czekałam na telefon od niego.

- Nadine Gebert - odezwałam się, siląc się, aby zabrzmiało to jak najbardziej oschle.

- Och, cześć Nadine! - Marek odchrząknął. - Chciałem cię tylko przeprosić. Niestety, nie mogłem dzisiaj przyjść, leżę w łóżku, to znaczy, nie w tej chwili...

Kichnął tak mocno w słuchawkę, że mało co nie pękł mi bębenek w uchu. - Sorry, ale nieźle się przeziębilem.

No, nie do wiary, cały świat wokół mnie zdawał się chorować!

Jednakże głos Marka brzmiał rzeczywiście tak, jakby nieboraka nieźle rozłożyło. Faktycznie nie czuł się dobrze.

- Mój ty biedaku - powiedziałam, już przejednana.

- Och, przejdzie mi. Złego licha nie bierze, wiesz przecież. Chciałem ci powiedzieć... - reszta zdania przeszła w głośnie „trąbienie”.

- Co chciałeś powiedzieć? - spytałam, kiedy wytarł nos.

- Świetnie się z tobą bawiłem wczoraj wieczorem - przyznał nieśmiało. - Mam nadzieję, że nie gniewasz się z powodu dzisiejszego popołudnia. Naprawdę nie mogłem przyjść. Kiedy wstaję z łóżka, kręci mi się w głowie, robi mi się słabo, tracę orientację. Moja siostra miała dwa tygodnie temu grypę, a teraz widocznie ja złapałem wirusa.

- Kładź się zaraz do łóżka - poradziłam. - Ogrzej sobie pościel termoforem i napij się herbatki lipowej.

Marek zaśmiał się, a potem musiał odkaslnąć. Zabrzmiało to naprawdę źle. - Dam znać - zachrypiął.

- Najpierw wyzdrowiej - odparłam i odłożyłam słuchawkę. Zrobiło mi się przykro. Miałam wyrzuty sumienia, że po południu wysyłałam go już do wszystkich diabłów. Ale skąd mogłam wiedzieć? Wczoraj wieczorem wyglądał jeszcze na całkiem zdrowego.

Najwyraźniej jednak zależało mu na mnie. W duchu cieszyłam się. Znowu byłam pogodzona ze światem. Kiedy wróciłam do swojego pokoju, zaczęłam się zastanawiać, jak sprawić Markowi radość. Mogłabym go odwiedzić w któryś dzień. Oczywiście, najlepiej zabrać ze sobą drobny prezent. Trzeba pomyśleć o czymś miłym.

Śmieszne, wielkie miłości w moim przypadku zawsze zaczynały się od choroby! Floriana poznałam w szpitalu, a teraz Marek musiał ukrywać się w łóżku, ledwo co się pocałowaliśmy po raz pierwszy. Uśmiechnęłam się do siebie.

Później przypomniał mi się list Floriana, ale nie chciałam teraz roztrząsać tego, co w nim przeczytałam.

„Świetnie się z tobą bawiłem wczoraj wieczorem”, powiedział Marek. Znowu bujałam w obłokach.

W nocy przyśnił mi się koszmar. Chciałam odwiedzić Marka w szpitalu. Przemierzałam bez końca długie korytarze, nie mogąc znaleźć sali, na której leżał. Wiedziałam, że musi gdzieś tu być, ale nie potrafiłam odczytać tabliczek z numerami na drzwiach. Przez pomyłkę wpadłam do pokoju pielęgniarek. Przeprosiłam i chciałam szybko się wycofać, ale jakaś postawna kobieta przytrzymała mnie za ramię. - Każdy, kto tutaj przychodzi, musi oddać krew do badania - powiedziała. Broniłam się i zagroziłam, że złożę na nią zażalenie. Wszyscy powinni się dowiedzieć, że tutaj pod przymusem pobiera się odwiedzającym krew. Ona jednak w ogóle mnie nie słuchała. „Olbrzymka” popchnęła mnie na zieloną plastikową leżankę i zacisnęła mi gumową opaskę na przedramieniu. Wyciągnęła strzykawkę, poczułam w następnej sekundzie ukłucie i zobaczyłam, jak ampułka napełnia się moją krwią. Po zabiegu „olbrzymka” przestała się mną interesować. Mogłam wstać i pójść sobie. Znów znalazłam się na pomalowanym na zielono korytarzu. Nagle zobaczyłam Floriana. Szedł o kulach, na głowie miał bandaż i wyglądał tak samo, jak wtedy, kiedy się po raz pierwszy spotkaliśmy w szpitalu.

- Cześć, Nad! - powiedział, przenosząc ciężar ciała na lewą nogę i odstawiając prawą kulę. Zamierzał podać mi rękę. Ale ja nie potrafiłam jej dotknąć, moje ramiona zwisały bezwładnie jak sparaliżowane.

„On ma AIDS - przeleciało mi przez myśl. - Nie powinnam go dotykać, bo jeszcze się zarażę”.

Florian, kuśtykając, zrobił krok w moim kierunku. Wydawało się, że koniecznie chce mnie dotknąć. Cofnęłam się. Natrafiłam plecami na ścianę.

- Zostaw mnie w spokoju! - krzyknęłam. - Nie dotykaj mnie!

- Ależ Nad... - szepnął Florian.

W tym momencie obudziłam się. Serce biło mi jak oszalałe, cała byłam zlane potem. Zapaliłam lampkę nocną i spojrzałam na budzik: minęła druga.

Poszłam do ubikacji, a potem wróciłam do łóżka, jednak nie mogłam ponownie zasnąć. Co za głupi sen! Moja podświadomość wszystko pokręciła. Naturalnie wiedziałam, że nie można rozchorować się na AIDS, uściskawszy komuś rękę.

Prześladował mnie smutny wyraz oczu Floriana, a miejsce na ramieniu, z którego pielęgniarka pobrała krew w moim śnie, naprawdę mnie bolało. Prawdopodobnie leżałam w niewygodnej pozycji.

Spróbowałam pomyśleć o czymś miłym, o pocałunku z Markiem. Nie udało się. Obraz

Floriana ciągle się pojawiał. Nie wiadomo czemu, miałam z jego powodu wyrzuty sumienia. Nie pomagało powtarzanie sobie, że przecież to był tylko sen. Przez jakiś czas miałam nawet wrażenie, że ten sen oznacza wołanie Floriana o pomoc. Może rzeczywiście był chory, śmiertelnie chory, kto wie, może w tej chwili umierał. Istnieje coś takiego jak przekazywanie myśli w godzinie śmierci.

Zlałam się zimnym potem. Było mi duszno, a jednocześnie czułam, że marznę. Klasyczny przypadek: dałam się ponieść wyobraźni. Jednakże kto w środku nocy potrafi racjonalnie myśleć?

Zwykle nie miałam problemów z zasypianiem, nawet gdy następnego dnia czekała mnie ważna klasówka. Najczęściej kładłam się do łóżka i już po sekundzie smacznie spałam. Odziedziczyłam to po tacie.

Natomiast mama często w nocy przechadzała się niespokojnie po mieszkaniu. Czasami siedziała w pokoju nawet do rana i czytała. Była bardzo czuła na zmiany pogody i nawet pełnia Księżyca mogła spowodować bezsenność.

Około czwartej nad ranem nadal nie spałam. Wypiłam już filiżankę ciepłego mleka. Ale od tego zrobiło mi się tylko niedobrze. Zastanawiałam się nawet, czy nie zażyć jednej z tabletek nasennych mamy, choć wolałam tego uniknąć. Następnego dnia miałabym ciężką głowę. Silna migrena na pewno nie pomogłaby w odczycie referatu. Poza tym te wszystkie „bomby” chemiczne wydawały mi się co najmniej podejrzane. Siostra mojej babci odebrała sobie przed laty życie, zażywając tabletki nasenne.

Nałożyłam na uszy słuchawki walkmana i puściłam ulubioną kasetę. Udało mi się całkowicie skoncentrować na muzyce. Wmówiłam sobie, że nic a nic nie obchodzi mnie, że będę czuwać do rana. Kiedy byłam opiekunką grupy dzieciaków na obozie w ubiegłym roku, często budziłam się już o trzeciej czy czwartej nad ranem. Na dworze panowała praktycznie głęboka noc. Właściwie nie było nic piękniejszego niż świt, gdy ptaki zaczynały świergotać i powoli robiło się jasno. Wszystko to miało swój szczególny urok. Pamiętam jeszcze owo charakterystyczne mrowienie w stopach, kiedy biegłam boso po mokrej od rosy trawie...

W którymś momencie jednak zasnęłam. Obudziła mnie mama, gdyż nie usłyszałam budzika i zasnęłam.

- Nadine, wstawaj! Nie idziesz dzisiaj do szkoły? Jest już kwadrans po siódmej. Od kiedy śpisz ze słuchawkami na uszach?

Miała już na sobie swój bordowy kostium i była perfekcyjnie umalowana. Jak na swoje trzydzieści dziewięć lat wyglądała jeszcze całkiem młodo i atrakcyjnie. Powiedziałam jej to.

Mama zaśmiała się zadowolona. - Nie gadaj tyle, tylko wstawaj! Muszę już iść. Śniadanie zostawiłam ci na stole w kuchni.

- Dzięki - mruknęłam.

Mama zawsze mówiła, że chętnie by mnie jeszcze rozpieszczała, bo jestem jej jedynym dzieckiem. Czasami ta jej troska była mi bardzo na rękę, ale bywało, że mnie denerwowała.

Drzwi mieszkania zamknęły się za nią. Tato także już wyszedł, więc śniadanie jadłam w samotności. Teraz, w świetle dziennym, mój sen wydał mi się kompletnie idiotyczny. Panika, w jaką wpadłam, była irracjonalna!

Myślałam o telefonie Marka i przez całą drogę do szkoły gwizdałam radośnie. Zapowiadał się słoneczny dzień. Po długiej, chmurnej zimie spragniona byłam słońca.

W pomieszczeniu, gdzie zostawialiśmy rowery, spotkałam Julię. Zaprosiła mnie na swoją imprezę urodzinową, która miała się odbyć za dwa tygodnie.

- Możesz kogoś ze sobą przyprowadzić. Jest wystarczająco dużo miejsca - dodała. Oczywiście zaraz pomyślałam o Marku. Do tego czasu na pewno wyzdrowieje.

- Świetnie, chętnie przyjdę - obiecałam. Julia pomachała mi na pożegnanie i pognąła przez korytarz. Spieszyła się na pierwszą lekcję - wiedzę o sztuce. Sala rysunkowa znajdowała się na drugim piętrze, a do ósmej została tylko minuta.

My mieliśmy biologię w sali na parterze. Obecnie omawialiśmy bakterie i wirusy. Nasz nauczyciel wiedział doskonale, jak nieciekawy materiał przedstawić w jeszcze bardziej nudny sposób. Na szczęście, ważne rzeczy zapisywał na tablicy.

Przepisywałam definicje do zeszytu, a myślami byłam przy Julii. Zazdrościłam jej trochę. Ona to ma dobrze. Jej rodzice mieszkali w dużym domu, więc mogła urządzać imprezy, nie przeszkadzając nikomu. U nas - przeciwnie - dozorca wiecznie zrzędził. A to głośna muzyka zakłóca spokój, a to znów chodzące po klatce schodowej tabuny gości to udręka dla pozostałych lokatorów, i tak dalej. Potrafił zepsuć każdemu zabawę. Jego żona zmarła dziesięć lat temu i od tej pory mieszkał sam ze starym jamnikiem. A ponieważ sam nie czerpał z życia żadnych przyjemności, to pewnie uważał, że innym też się już nic nie należy. Stary zrzęda!

Nagle coś wyrwało mnie z zamyślenia - z pierwszej ławki padło hasło: „AIDS”. Peter, nasz klasowy prymus, rzeczywiście spytał pana Thermera o sposób działania wirusa wywołującego AIDS!

Tym pytaniem wyraźnie wprawił go w zakłopotanie. Nauczycielowi, który od wieków pracował w naszej szkole, zostało niewiele lat do emerytury i tajemnicą poliszynela było to,

że od dwudziestu pięciu lat uczył dokładnie według tego samego, utartego schematu.

Nauczyciel, zafrasowany, zdjął okulary.

- Ten wirus... yyy... na decydujące wyniki badań trzeba będzie jeszcze trochę poczekać... yyy... stwierdzono, że wirus przenosi się w określony sposób...

- Czy to prawda, że pocałunki z języczkiem są niebezpieczne? - zapytała prowokacyjnie Silke.

Pan Thermer potarł z zakłopotaniem czoło. - Pocałunki z języczkiem nie są tematem lekcji! - ktoś zawołał.

- Całkiem słuszna uwaga. - Nauczyciel uczeplił się natychmiast tej deski ratunku. - A ponieważ AIDS jest chorobą narkomanów, homoseksualistów i nimfomanek, myślę, że nie musimy zajmować się tym wirusem.

- A co to znaczy „nimfomanka”? - chciała wiedzieć Diana.

- No... właśnie osoba rozwiązała seksualnie. Mająca kontakty fizyczne z wieloma przygodnymi partnerami! - wyjaśnił pan Thermer. Jego twarz wykrzywił grymas obrzydzenia.

Nie wiem, co mnie tak nagle rozzłościło. Uważałam za potwornie aroganckie to, co ten zgred wygadywał, najwyraźniej nie mając najmniejszego pojęcia o AIDS.

- Od kiedy AIDS ma coś wspólnego z moralnością? Wirusa można złapać także w wyniku transfuzji krwi - rzuciłam.

- Pod tym względem przeprowadzane są z całą pewnością dokładne kontrole - odparł pan Thermer. - Poza tym istnieje możliwość oddania przed operacją własnej krwi, jeśli pacjent tak bardzo obawia się zainfekowania.

- A co z tymi, którzy mimo wszystko zostali zakażeni? - nie ustępowałam. - Na przykład z tymi, którzy mieli wypadek i nagle trzeba im przetoczyć krew?

- To bardzo dobrze, panno Gebert, że pani także włączyła się raz do dyskusji, ale sprawa zaszła już naprawdę za daleko - przerwał pan Thermer. - Jeśli to panią tak bardzo interesuje, to proszę zapytać jakiegoś eksperta z dziedziny medycyny.

Dla niego temat był zamknięty. Wrócił do omawiania swoich bakterii.

Byłam niezadowolona. Po pierwsze dlatego, że tak bez ceregieli zamknął mi buzię, a po drugie, bo - mniej lub bardziej - był przekonany, że ten, kto ma AIDS, sam jest sobie winien! Tak jakby każdy prosił się o chorobę!

Na przerwie Liza zapytała, czy może niebawem czeka mnie operacja.

- Nie, dlaczego? - Spojrzałam na nią zdziwiona. Koleżanka wzruszyła ramionami. - Tak tylko pomyślałam... - zaczęła, a potem opowiedziała mi, że jakiś czas temu jej cioci wstawiano endoprotezę stawu biodrowego. - Miała też przetoczoną krew. Potem okropnie się

przestraszyła, że Przecież mogła się zarazić. Zrobiła sobie nawet test na AIDS.

- I co? - spytałam, z trudem przełykając ślinę.

- Na szczęście wszystko było w porządku.

- A gdzie właściwie zrobiła badania?

- Myślę, że u swojego lekarza domowego. - Liza pokręciła głową. - Nie wiem, czy ja dałabym radę. Wyobraź sobie, co by było, gdyby wynik okazał się pozytywny! Chyba bym się zabiła. Nie mogłabym z tym żyć.

- Przesadzają już trochę z tym niebezpieczeństwem - wmieszała się Patrycja. - „Nigdy bez gumki!” Ileż razy już to słyszałam! Jako alternatywa pozostaje jeszcze wstrzeźliwość. Oto, co chce nam się wmówić. Nie mamy już prawa do przyjemności!

Prawie niezauważenie zaczęła mówić o feriach wielkanocnych. Chciała pojechać na tydzień do Anglii. Byłam jej wdzięczna za zmianę tematu. Odniosłam wrażenie, że pojęcie „AIDS” zaczęło mnie prześladować. Wszędzie się na nie natykałam. A może wydawało mi się tak z powodu listu Floriana?

Na geografii udało mi się niezakłócenie przeczytać do końca referat. Pani Spinn pokiwała głową z aprobatą. Nie miała nic do zarzucenia mojemu wystąpieniu. Po mnie zaczęła prelekcję Iris. Przez resztę lekcji rozmyślałam, co też kupić Markowi na prezent. Powinno to być coś ładnego i oryginalnego, ale, mimo najlepszych chęci, nic mi nie przychodziło do głowy. Może książka? Nie miałam jednak pojęcia, czy Marek lubi czytać.

Moje myśli znów powędrowały ku Florianowi. Jak zauroczone. Jego list nie dawał mi spokoju. Postanowiłam jeszcze tego popołudnia mu odpisać.

- Bzdura! Gryzłam koniuszek pióra. Było mi niewyobrażalnie ciężko znaleźć odpowiednie słowa. Już trzykrotnie zaczynałam list do Floriana, i za każdym razem gniotłam kartkę. Z wersji, która leżała teraz przede mną na biurku, też nie byłam zadowolona. Ponownie przeleciałam wzrokiem zapisane linijki.

Cześć, Florianie!

Swoim listem napędziłeś mi niezłego strachu. AIDS! Takich żartów się nie robi! Na pewno chorujesz na coś innego. Gdzieś, głęboko w środku czuję, że to, co napisałeś, nie może być prawdą.

Ostatnie zdanie wydało mi się okropnie kiczowate. „Głęboko w środku”! Zabrzmiało to tak, jakbym nie uwolniła się od Floriana. Podarłam list i przez chwilę wpatrywałam się w czystą papeterię.

Nigdy coś takiego mi się nie zdarzyło! Nie potrafiłam sobie przypomnieć, żeby kiedyś napisanie listu stanowiło dla mnie taką trudność. Rozmowa telefoniczna byłaby teraz o wiele prostszym rozwiązaniem. Słowo pisane zawierało w sobie coś tak ostatecznego! Westchnęłam i zaczęłam pisać od nowa.

Właściwie dlaczego sądziłam, że potrafię całą sprawę lepiej ocenić niż Florian? Teraz poddałam siebie samej surowej ocenie. Czy to nie było raczej tak, że nie pasowało mi to, co napisał?

Wyjęłam jego list i jeszcze raz przeczytałam. Tym razem zrobił na mnie inne wrażenie. Tchnęło z niego rozpaczą, ale nie histerią. Oto cały Florian: analityk, niedowiarek, który musi sprawdzić wszystkie możliwości. Takim go znałam. Tak naprawdę nie należał do osób, które niepotrzebnie sięją panikę. List w moich rękach zaczął drżeć. Linijki zamazały mi się przed oczami. W głowie przelatywało mi tysiące myśli. A co, jeśli to prawda?

Oczywiście wyobraźni ujrzałam Floriana takim, jakim go zapamiętałam: z jego ciemnymi włosami, nieco posepnym spojrzeniem, które się jednak zaraz rozjaśniało, kiedy się uśmiechał. Miał dopiero dziewiętnaście lat, był dwa lata starszy ode mnie. AIDS jest chorobą śmiertelną. Jeśli rzeczywiście na nią choruje, to umrze. Umrze, zanim zacznie naprawdę żyć.

Poczułam ucisk w żołądku. Czy los mógłby być aż tak okrutny? Lekarze wspięli się na szczyt swoich umiejętności, by uratować Floriana. Teraz, po latach, okazuje się, że to było tylko krótkie odroczenie wyroku. Zainfekowana krew! AIDS! Cierpienie, powolna śmierć...

Czy coś takiego mogło się stać? To było podłe i niesprawiedliwe! Walnęłam pięścią w biurko tak mocno, że zabolą mnie ręka.

To nie może być prawda! To jakaś paranoja! Takie historie nie przytrafiały się w realnym świecie - a jeśli już, to komuś innemu! Przyszło mi do głowy wiele rzeczy, które mogłam teraz zrobić: jak choćby zadzwonić do szpitala i zapytać, czy Florianowi rzeczywiście podano zainfekowaną krew. A jeśli nikt nie udzieliłby mi odpowiedzi, przepytowałabym dalej wszystkich, dotarłabym nawet do ordynatora, albo sprzedałabym temat gazecie. Nowy skandal! Potem pomyślałam o ciekawskich pytaniach, których na pewno bym nie uniknęła: - A więc byłeś jego dziewczyną. A co z tobą? Czy też się zaraziłaś? Czy obcując z sobą zabezpieczaliście się?

Nie miałam ochoty czytać swoich odpowiedzi w gazecie. Mój zapał zgasł.

Za to wykluła się nowa myśl: czy możliwe, żebym ja też się zaraziła? Nie, przecież czuję się zdrowa. Jestem zdrowa. Zauważyłabym, gdyby coś ze mną było nie tak! W końcu znam swoje ciało!

Poza tym, kto powiedział, że w ogóle ta sprawa mnie dotyczy, przyjmując nawet, że Florian naprawdę ma AIDS. Nie chodziliśmy ze sobą znowuż tak długo. Właściwie parę tworzyliśmy gdzieś tak niespełna rok.

Kiedy spojrzałam na łóżko, poczułam znajome mrowienie w żołądku. Nasze przytulne gniazdko. Częściej spotykaliśmy się u mnie niż u niego. Jego mama prawie nigdy nie wychodziła z domu.

Oczami wyobraźni ujrzałam panią Wendrich, jej wysoką, chudą sylwetkę. Przez chwilę miałam wrażenie, że czuję znów jej słaby uścisk dłoni i badawcze spojrzenie na sobie. Nasze stosunki nigdy nie były serdeczne. Prawdopodobnie obawiała się, że zabiorę jej syna.

Ponownie popatrzyłam na biurko. Z listu do Floriana nici. Mimo najlepszych chęci nie miałam pojęcia, co napisać. Czy powinnam wziąć jego obawy na poważnie, czy też wybić mu je z głowy? Najpierw sama musiałam się nad tym zastanowić. Czułam się zupełnie zbита z tropu. List musiał więc poczekać. Zdecydowałam, że napiszę go następnego ranka. Z tym postanowieniem włożyłam papeterię z powrotem do szuflady.

Na szafce piętrzyły się jeszcze książki z wypożyczalni. Korzystałam z nich, przygotowując referat. Najlepiej, żebym oddała je jeszcze dzisiaj. Uniknęłabym wtedy otrzymania pocztą znowu jednego z tych uprzejmych upomnień z biblioteki. Niedawno za przetrzymywanie książek wyłudziłam ode mnie prawie połowę mojego kieszonkowego. Nie miałam znowuż aż tak zasobnego portfela!

Po drodze do biblioteki mogłabym od razu wstąpić do sklepu z upominkami w rynku. Może znalazłabym coś odpowiedniego dla Marka. Ten mały sklepik zawsze miał fantastyczny asortyment, do wyboru, do koloru. Od zabawnych widokówek do oryginalnych

„podtrzymywaczy” na papier toaletowy. Na pewno znajdę tam jakiś drobiazg dla Marka. Dlaczego od razu nie wpadłam na ten pomysł? Poprawił mi się troszkę humor.

W sklepiku spędziłam dobrą godzinę, przechadzając się między regałami z towarem. Sądzę, że część klientów wstępowała tutaj nie po konkretny zakup, lecz by sobie pooglądać te intrygujące drobiazgi. Trudno pojąć, że znajdowały się tu rzeczy, którymi można było uszczęśliwić ludzi posiadających już wszystko. Większość z nich była tak naprawdę zbyteczna, ale doskonała na niekonwencjonalny, dowcipny prezent. Wreszcie zdecydowałam się na puszkę herbaty o smaku kwiatu pomarańczy.

Kiedy opuściłam sklepik, na dworze zrobiło się już całkiem ciemno. Biblioteka, na szczęście, była jeszcze otwarta. Już się bałam, że zastanę zamknięte drzwi i będę musiała zabrać książki z powrotem do domu. Nigdy nie mogłam zapamiętać godzin otwarcia!

Oddawszy książki, powędrowałam jeszcze do działu literatury pięknej. Szukałam pewnej powieści. Naturalnie była wypożyczona. Porozglądałam się trochę po półkach w nadziei, że znajdę jakieś inne interesujące czytadło. Nagle wyrosła przede mną Liza.

- Cześć!

- Cześć, Nadine! Co za przypadek! Właśnie sobie pomyślałam, że chętnie poszłabym z kimś na pizzę. I akurat wpadam na ciebie! - zaśmiała się.

Pizza? Niezły pomysł. Kiwnęłam głową.

- Piszę się na to!

- Muszę jeszcze pójść do działu muzycznego, zamykają go pół godziny wcześniej niż resztę biblioteki. Potrzebuję kilku nut na fortepian. Zaczekasz?

Liza wcisnęła mi do ręki książki, które zamierzała wypożyczyć, i pobiegła ku schodom. Zaczęłam szukać stolika, na którym mogłabym położyć opasłe tomiska. Znalazłam jeden w dziale medycyny, tuż obok powieści. Z westchnieniem ulgi pozbyłam się ciężaru. Liza była prawdziwym mołem książkowym. Wśród jej zdobyczy znajdowała się też powieść, której szukałam. Co za pech! Spóźniłam się pięć minut!

Przerzuciłam kilka kartek - na pierwszy rzut oka nie wydała mi się szczególnie ciekawa.

Liza nie spieszyła się. Pewnie w dziale muzycznym był tłum ludzi albo jeszcze nie znalazła interesujących ją nut. Przeniosłam wzrok na regały z książkami. O rany, ale opasłe tomiska! Takimi księgami można by spokojnie kogoś zabić. Dziw bierze, że szafka jeszcze się nie zawaliła pod ich ciężarem!

Tam odkryłam wielotomowy leksykon medyczny. Już stałam przed półką, wyciągnęłam pierwszy tom i przytaczałam do stolika. Poszukałam haseł zaczynających się na

„A”. AIDS.

Acquired immune deficiency syndrome. W tłumaczeniu: zespół nabytego upośledzenia odporności.

Zagłębiłam się w notkę. Dowiedziałam się, że przyczyną zachorowania na AIDS jest wirus HIV. Powoli osłabia system odpornościowy człowieka. Nie umiera się bezpośrednio z powodu wirusa, tylko z powodu skutków ubocznych jego obecności. Organizm nie ma już więcej siły do walki z różnymi infekcjami.

Ten podstępny wirus posługuje się białymi ciałkami krwi, na których pasożytuje, a potem je niszczy. Tak więc z czasem białych krwinek jest w organizmie człowieka coraz mniej i system immunologiczny po prostu przestaje funkcjonować. Objawami AIDS mogą być powiększone węzły chłonne, biegunka i ubytek na wadze. Poza tym zwiększa się podatność zachorowania na grzybicę. Wielu chorych na AIDS umiera na zapalenie płuc.

Opisane symptomy były podobne do tych, które Florian przedstawił w swoim liście. Och, Florianie!

Kto tak mocno podkreślił ogrzewanie w bibliotece? Najchętniej zdjęłabym z siebie sweter, bo zrobiło mi się nagle słabo z tego gorąca.

Oddychałam ciężko. Miałam wrażenie, że w sali jest potwornie duszno. Przed oczami pokazały mi się ciemne mroczki. Nie byłam w stanie dalej czytać. Ktoś dotknął mojego ramienia.

- Hej, już jestem. - To była Liza. Pod pachą trzymała plik nut. - Długo mnie nie było, co? Przepraszam, naprawdę się spieszyłam. Co czytasz?

- A, nic takiego - powiedziałam szybko i zamknęłam leksykon. Nie chciałam rozmawiać teraz o AIDS. Wszystko niespodziewanie się skomplikowało. Nagle AIDS przestało być dla mnie czymś, co mogłam, ot tak, odsunąć od siebie, czymś, co mnie nie dotyczy.

Niczym robot, machinalnie, odłożyłam leksykon na półkę. Na szczęście Liza nie spostrzegła, że dziwnie się zachowuję. Paplała bezustannie o konkursie pianistycznym, w którym planowała wziąć udział. Była bardzo muzykalna, w przeciwieństwie do mnie. Chyba bym oszalała, gdybym godzinami miała wystukiwać gamę - to wyżej, to niżej. Lepiej zostanę przy siatkówce!

Podczas gdy Liza ustawiała się w długiej kolejce do obsługującej czytelników bibliotekarki, ja czytałam ogłoszenia na tablicy, a raczej gapiłam się tylko na nie. Nieważne, co było na nich napisane. W głowie migotało mi bezustannie jedno słowo: AIDS. Jak szczególnie jaskrawa reklama świetlna. Cholera, znowu zrobiło mi się niedobrze.

Wysoka gorączka, spadek wagi, zniszczenie komórek mózgowych - czy to wszystko czeka Floriana? Czy to możliwe? Czy Florian rzeczywiście ma AIDS? Jak długo można żyć z tą chorobą? Od kiedy wie, że jest chory? Czy zaraziłam się od niego?

Bałam się poznać odpowiedzi na te pytania!

Ale oczywiście musiałam się dowiedzieć.

Jednakże co dalej, jeśli okaże się, że ja też jestem chora? Co potem? Cholera, cholera, cholera!

- O Boże, ale masz smutną minę! - powiedziała Liza. - Stało się coś?

„O rany, muszę wziąć się w garść. Liza nie może się dowiedzieć”. Po prostu nie potrafiłam rozmawiać o swoich obawach. Przynajmniej nie teraz. Wskazałam palcem na karteczkę, która wisiała tuż przed moim nosem.

- Kochający dzieci spaniel, prawie czystej rasy, do oddania ze względu na okoliczności - przeczytała na głos koleżanka.

- Zawsze się wzruszam losem zwierząt, których pozbywają się właściciele - oświadczyłam.

Jakie jeszcze wymówki będę musiała wynajdywać? Dlaczego nie mogłam po prostu powiedzieć, co naprawdę mnie poruszyło? „Posłuchaj, mój były chłopak ma prawdopodobnie AIDS i teraz okropnie się boję, że mogłam się od niego zarazić”. Czy wtedy Liza w popłochu pożegnałaby się ze mną? Nie, nie mogłam jej nic powiedzieć!

- Zgadza się, niektórzy ludzie są bardzo nieodpowiedzialni - odezwała się, kiedy kierowałyśmy się do wyjścia. Opowiedziała mi, że jakaś rodzina zamknęła w piwnicy chorą papuzkę falistą, zamiast zanieść ją do weterynarza. Jak bezduszni potrafią być niektórzy!

- Dokąd idziemy? - spytałam. - Do „Salto Mortale”? Liza zaproponowała jednak nowo otwartą pizzerię.

- Jest bardzo przytulna - zapewniła mnie. - „Salto Mortale” w porównaniu z nią to zakład przemysłowy.

- OK, dam się zaskoczyć.

Zanim dotarłyśmy do pizzerii, zdążyłyśmy przerobić już wszystkie możliwe tematy: począwszy od doświadczeń przeprowadzanych na zwierzętach, a skończywszy na zanieczyszczeniu środowiska. Liza była zdeklarowaną obrończynią praw zwierząt i członkinią Greenpeace.

Pizzeria „Marco Polo” okazała się rzeczywiście bardzo przytulna.

- Mała, ale fajna - zauważyła koleżanka, podczas gdy ja rozglądałam się dokoła. - A jedzenie tutaj jest przepyszne!

Liza bywała tu widocznie już wcześniej, gdyż Nino, właściciel restauracyjki, od razu do nas podszedł i pozdrowił ją jak starą znajomą. Potem spytał, co zamawiamy. Zdecydowałam się na danie, które poleciła mi Liza.

- Poza tym podają tu też koktajle - zachwycała się. - Nie wszędzie je dostaniesz.

Zamówiłam colę, Liza wybrała dla siebie koktajl owocowy.

- Masz, spróbuj. - Podsunęła mi swoją szklankę. - No i czy nie smakuje niebiańsko?

Upiłam łyk. Wyczułam marakuję i inne egzotyczne owoce. Rzeczywiście, bardzo smaczny napój.

Liza uśmiechnęła się. - No i co? Czy to nie był świetny pomysł, żeby tu przyjść?

Kiwnęłam potakująco głową. Powoli rozluźniłam się nieco, a wszystkie moje obawy gdzieś się przyczaiły, znikając na chwilę. Czułam się niemal tak jak zawsze.

Pizza była fantastyczna, razem z Lizą paplałyśmy i zanosiliśmy się śmiechem. To był naprawdę udany wieczór. Umówiliśmy się na nadchodzącą sobotę do dyskoteki „Queen”. Liza jeszcze nigdy tam nie była.

- - To również dobry pomysł - zapewniłam ją, kiedy żegnałyśmy się pod pizzerią.

- Super. Już się cieszę na nasze wyjście - odparła i pomachała mi ręką. - Ciao, do jutra!

Nocą znów powrócił strach, który tak skutecznie udało mi się wieczorem odegnąć.

Spałam około trzech godzin, kiedy nagle zerwałam się przerażona. Ostatnią scenę z koszmaru miałam wciąż przed oczami i nie mogłam się od niej uwolnić. Florian leżał w trumnie, blady, z zapadniętymi policzkami. Wyglądał zupełnie tak samo jak chory na AIDS z czasopisma, które przeglądałam kilka dni temu. To było straszne. Nie mogłam się uspokoić. W głowie kłębiły mi się złowróżbne myśli.

Czy ja też jestem chora? A jeśli tak, o Boże, co wtedy? Jakże mogłam być poprzedniego wieczoru taka beztroska? Może już tyka mi w środku bomba zegarowa?

Przypomniałam sobie, jak niefrasobliwie piłam ze szklanki Lizy. Czy wirus znajduje się też w ślinie? Czy w ten sposób można się zarazić?

Miałam wrażenie, że zaraz się uduszę. Nagle przyszło mi na myśl, że mam zwyczaj pić wodę mineralną prosto z butelki... O dobry Boże, nie!

A z Markiem niedawno tak intensywnie się całowałam!

Oblał mnie zimny pot.

Może jednak nie mam wirusa! Może niepotrzebnie się zamartwiam.

Chyba powinnam zrobić sobie test na AIDS! Tylko gdzie? Może u naszego lekarza rodzinnego, doktora Schmidta, który leczył mnie już z ospy wietrznej? Albo u mojej ginekolog? Czy ona też przeprowadza takie testy? Najlepiej, gdybym zgłosiła się gdzieś anonimowo. Po prostu dowiedziałabym się, jaki jest wynik, i nie musiałabym podawać swojego nazwiska. Wtedy w końcu przestałby mnie prześladować ten bezsensowny strach.

Uspokoiliłam się w końcu i postanowiłam zorientować się możliwie jak najszybciej, gdzie przeprowadzane są anonimowo testy. Istnieją przecież poradnie zajmujące się problematyką AIDS. Najlepiej tam zadzwonić.

Zachciało mi się pić, więc poszłam do kuchni. Już zamierzałam przyłożyć butelkę do ust, kiedy powstrzymałam się i sięgnęłam po szklankę. Po wypiciu wypłukałam ją dokładnie i wróciłam do łóżka. Zawinęłam się w kołdrę i zaczęłam rozmyślać o Marku i o tym, jak nam się będzie wspaniale układać. Początek był przecież bardzo obiecujący.

Fajnie by było latem gdzieś razem wyjechać. Wprawdzie dwa tygodnie pewnie spędzę pod namiotami z moją paczką, ale przecież wakacje trwają dłużej. Ciekawe, co Marek powiedziałby na wyjazd do Grecji? Na przykład na Kretę? Wspaniale morze i błękitne niebo... Wyobraziłam sobie siebie i Marka leżących na białej plaży. Z tą myślą zasnęłam.

Następnego ranka obudziłam się dość zdenerwowana. W łazience upuściłam

dezodorant. Potem spadła mi na posadzkę szklanka, która rozbiła się na niezliczone kawałki. A na dodatek przy śniadaniu wylałam sobie kawę na jasne dzinsy.

- Halo, halo! I kto tu z naszej trójki jest stary i wszystko leci mu z rąk? - przekomarzał się ze mną tato, ale mi wcale nie było do śmiechu. Bez słowa pobiegłam do swojego pokoju przebrać się.

Co za pech! Miałam nadzieję, że rodzice, jak zwykle, wyjdą z domu wcześniej ode mnie. Ale akurat dzisiaj nie spieszyli się ze śniadaniem. Obydwoje mieli ruchomy czas pracy. Siedziałam jak na szpilkach, bo właściwie planowałam jeszcze przed lekcjami zadzwonić do poradni zajmującej się AIDS. Rodzice nie mogli się o tym dowiedzieć. Nie chciałam ich niepotrzebnie martwić.

Niestety, nie udało mi się tam zadzwonić, choć opóźniałam swoje wyjście z domu jak tylko mogłam.

W końcu jednak zrozumiałam, że to nie ma sensu. Musiałam już wyjść, jeśli nie chciałam spóźnić się na lekcję. Pierwszą wieliśmy historię z dyrektorem. Nie był to człowiek szczególnie łatwy w kontaktach, więc nie chciałam wdawać się z nim w żadne dyskusje.

Na lekcjach mój brak koncentracji też dał się zauważyć. Myślami po prostu byłam nieobecna. No i akurat dzisiaj nasz matematyk wpadł na pomysł, żeby nam zrobić niezapowiedzianą kartkówkę. W ogóle się nie liczyłam z taką możliwością. Miałam kompletne zaśmianie umysłu i oddałam swoją kartkę z przecuciem, że całkowicie rozłożyłam się na sprawdzianie.

Równocześnie byłam niesamowicie zła na pana Funka. Gdyby wiedział, z jakimi problemami teraz przyszło mi się zmierzyć! Co mnie obchodzi matma? O wiele ważniejszą sprawą jest fakt, czy zaraziłam się od Floriana, czy nie! Od tego zależy wszystko!

Ukryłam twarz w dłoniach. Ból rozsadzał mi czaszkę. Czy to oznaka choroby? Czy AIDS zaczyna się od migreny? Każdy drobiazg działał mi na nerwy. Kiedy Iris delikatnie szturchnęła mnie w żebro, bo nie zareagowałam na jej uwagę, nakrzyczałam na nią, by zostawiła mnie w spokoju.

- Hej, co się z tobą dzisiaj dzieje? - Zdziwiona uniosła brwi. - Pokłóciłaś się ze swoim chłopakiem?

- Po prostu nie znoszę, kiedy każdy mnie dotyka. To wszystko - mruknęłam zła.

- Och. - Odsunęła się demonstracyjnie. - Przepraszam. Potem znów nachyliła się naprzód i zapytała głośno: - Przyznaj się, bujasz? Myślisz, że mam AIDS czy co?

To była kropla, która przepełniła czarę. Wstałam i bez słowa wyszłam z klasy. W drzwiach zderzyłam się z panią Reichert, naszą nauczycielką niemieckiego.

- Nadine, gdzie tak ci spieszno?

- Jest mi niedobrze - rzuciłam pospiesznie. Odsunęła się i przepuściła mnie. Uciekłam do ubikacji, kucnęłam na zamkniętej klapie i usiłowałam ze wszystkich sił odzyskać zimną krew. Tak przecież dłużej nie może być. Naprawdę muszę wziąć się w garść, inaczej stracę nerwy. „Uwaga Iris to czysta bezmyślność. A ja znowuż nie jestem aż tak wrażliwa. Nadine, nie trać głowy”.

Poczułam delikatny zapach dymu papierosowego. Nie byłam w łazience sama. Kabina obok mojej też była zajęta. Ktoś jarał tu w ukryciu, prawdopodobnie jakaś uczennica z młodszej klasy. Pewnie w tej chwili cierpiała piekielne męki, bo nie wiedziała, kto wszedł do łazienki. Uśmiechnęłam się mimo woli. Skąd ja to znam? Zastukałam w ścianę: - Nie przeszkadzaj sobie!

- Dzięki - odezwał się przytłumiony głos zza ścianki.

Śmieszne, że dzięki tej krótkiej scenie odzyskałam równowagę psychiczną. Opuściłam kabinę i umyłam ręce oraz twarz w zimnej wodzie. Poczułam się lepiej. Kiedy wróciłam do klasy, pani Reichert obrzuciła mnie badawczym spojrzeniem. Nic jednak nie powiedziała i przez resztę lekcji zostawiła mnie w spokoju. Chwała jej za to.

Po lekcjach poszłam szybko do domu. Był piątek, a ja nie miałam pojęcia, czy poradnia telefoniczna w ogóle jest czynna. Wiele firm i instytucji zamykano w piątki wcześniej. Szybko wynalazłam numer w książce telefonicznej. Był zaznaczony tłustym drukiem. Kiedy wykręcałam go, czułam lekki ucisk w żołądku. Opuszczała mnie odwaga. „Kto właściwie się zgłosi? Na jakie pytania będę musiała odpowiedzieć?”

Sygnal był zajęty. Po części rozczarowana, po części rozluźniona, odłożyłam słuchawkę. Postanowiłam, że spróbuję później jeszcze raz.

Raczej nie byłam głodna. W lodówce stała miska z sałatką owocową. Nałożyłam sobie niewielką porcję na talerz. To powinno mi wystarczyć na obiad. Musiałam znów lecieć na trening.

Zabrałam talerz z sałatką do pokoju, włączyłam magnetofon i otworzyłam zeszyt do zadań domowych. Z ciężkim westchnieniem stwierdziłam, że nauczyciele znów zawaliłi nas pracą. Wystarczyłaby już sama interpretacja wiersza Hoerdelinga! I to miał być weekend!

Przypomniałam sobie, że nie zajrzałam dziś do skrzynki na listy. Listonosz zjawiał się u nas bardzo późno, najczęściej dopiero koło południa. W duchu liczyłam na list od Floriana.

To jednak nie jest AIDS. Nadine, przepraszam, że tak Cię przestraszyłem...

Pobożne życzenia. Ale od czasu do czasu zdarzają się przecież cuda. Dlaczego jeden nie miałby się przytrafić właśnie mnie?

Jednak w skrzynce na listy znajdowała się jedynie reklama. Czy listonosz w ogóle już tu był? Wyrzałam na ulicę i w dali ujrzałam oddalający się charakterystyczny żółty wózek. A więc był.

Weszłam z powrotem na górę i spróbowałam ponownie dodzwonić się do poradni, jednak linia nadal - lub też ponownie - była zajęta. Kto wie, jak długo jeszcze potrwa to uzewnętrzanie się. Czy nie ma jakiegoś połączenia dodatkowego?

Odłożyłam słuchawkę. Miałam wrażenie, że teraz mam zepsuty cały weekend.

Usiłowałam cieszyć się z umówionego na sobotę spotkania z Lizą. Jednak gdzieś głęboko w sercu czułam pustkę. Właściwie było mi wszystko jedno.

Dobijała mnie ta niepewność. Jedyne, co mnie w tej chwili interesowało, to fakt, czy Florian rzeczywiście ma AIDS. Czy zaraziłam się od niego?

Całkiem spontanicznie zdecydowałam, że odwiedzę Marka przed treningiem. Perspektywa ponownego spotkania z nim sprawiła, że szybciej zabiło mi serce. Czy ucieszysz się na mój widok?

Odwróciłam się do biurka, postawiłam prezent dla Marka na książkach i obejrzałam go jeszcze raz. Ładnie zapakowany. Poprawiłam troszeczkę papier ozdobny. Żebym tylko nie zapomniała powiedzieć Markowi, że Julia zaprosiła nas na swoje urodziny.

Ale może odbierze moją propozycję jako zagrożenie dla swojej wolności? Może wyda mu się, że chcę nim dyrygować? Trudno przewidzieć jego reakcję. Dlatego lepiej zrezygnować z przedwczesnych kroków, nacisków! Zwyczajnie wspomnę mimochodem, że Julia mnie zaprosiła i że mogę ze sobą kogoś przyprowadzić. Gdyby miał ochotę, to może wybrać się ze mną, a jeśli nie, zapytam kogoś innego.

Czy to dobry plan? Szczypta zazdrości ożywia przecież każdą miłość. Jeśli naprawdę mu na mnie zależy, to mógłby się trochę wysilić. Kiedy załadowałam torbę sportową na rower i odjechałam, byłam już w trochę lepszym nastroju. Na ulicach o tej porze dnia panował straszliwy ruch. Miało to przynajmniej tę zaletę, że musiałam się koncentrować na drodze i nie myślałam o problemach. Marek mieszkał w starym domu jednorodzinym. Jeszcze tutaj nie byłam. Próbowałam zgadnąć, które okno należy do pokoju Marka. Czy to na pierwszym piętrze, przez które w tyle można było dojrzeć monitor komputera, czy to ze zsuniętymi do połowy roletami?

Zadzwoiłam do drzwi. Otworzyła ruda dziewczynka w wieku około trzynastu lat. Pewnie jego siostra, Christine.

Na mój widok ani drgnęła.

- Cześć - uśmiechnęłam się. - Czy jest Marek?

- Tak, ale leży w łóżku - mruknęła.

- Chętnie go odwiedzę - szepnęłam grzecznie, choć miałam ogromną ochotę zdzielić niesympatyczne dziewczysko. - Tylko na chwilkę.

- Nie wiem, czy da radę.

Bardzo uprzejma, naprawdę. Ale tak szybko nie dam się spławić. Chyba nie po to narażałam swoje życie w piątkowo - popołudniowym korku, żeby teraz dać sobie zatrzaskać drzwi przed nosem.

- To zapytaj brata - zaproponowałam, patrząc na nią z wyższością. W końcu ze swoim wzrostem metr siedemdziesiąt pięć górowałam nad dziewczyną. - Powiedz, że przyszła Nadine.

Christine zniknęła, a ja podziękowałam w myślach niebiosom, że nie zesłały mi takiej „uroczej” siostrzyczki. Czekałam bardzo długo, wydawało mi się, że ciągnie się to w nieskończoność. No jasne, robiła to celowo. Spojrzałam na zegarek. Wyglądało na to, że spóźnię się na trening. A co tam, wszystko jedno. W końcu pojawiła się z powrotem Christine.

- Możesz wejść - zezwoliła łaskawie. - Pierwsze drzwi na lewo.

Wchodząc na górę po drewnianych schodach, starałam się nie patrzeć na obrzydliwą tapetę w kwiatki, pokrywającą ściany korytarza. Pierwsze drzwi na lewo. Zapukałam i odczekałam chwilę. Żadnej odpowiedzi. Poirytowana nacisnęłam klamkę. Ale odkrycie - łazienka!

Przy drugich drzwiach miałam więcej szczęścia. Marek siedział wyprostowany na łóżku. Był blady i miał zapadnięte policzki, broda cała była pokryta zarostem. Nasunęło mi to na myśl chorego na AIDS z czasopisma i powitalny uśmiech wyszedł mi trochę sztucznie.

- Cześć, Marku!

Chłopak był wyraźnie zakłopotany. - Ale niespodzianka! Nigdy bym nie pomyślał, że mnie odwiedzisz.

Kiedy zbliżyłam się do łóżka, chcąc pocałować Marka na przywitanie, ten odsunął się ode mnie. Zrobiło mi się gorąco. Nie sądziłam, że w ciągu jednej sekundy może tyle myśli zawirować w głowie.

„Musiał skądś dowiedzieć się o Florianie! A teraz boi się, że ja też się zaraziłam, więc nie chce mieć ze mną więcej nic wspólnego!”

Poczułam się tak, jakbym nagle dostała obuchem w głowę. Cała moja nadzieja, tęsknota, zakochanie runęły w jednej chwili niczym domek z kart.

Marek zauważył moją zasmuconą minę i od razu zaczął się tłumaczyć.

- Nie chcę, żebyś też się rozchorowała.

Teraz dopiero doszło do mnie, że mówił o swoim przeziębieniu. Nie chciał mnie zarazić!

Ale i tak nadal czułam się okropnie. W tej chwili z jasnością błyskawicy zrozumiałam: jeśli rzeczywiście to mam, mogę pożegnać się ze związkami damsko - męskimi. Czułości - nie, dziękuję! Adieu miłości! Kto jeszcze jest zmęczony życiem?

Tego aspektu choroby w ogóle do tej pory nie brałam pod uwagę. Jedyne, o czym myślałam, to ból i śmierć - nierozzerwalnie związane z AIDS.

Marek zauważył, jaka jestem wzburzona, i jeszcze raz przeprosił. Tylko mnie tym zdenerwował. Dlaczego ciągle przeproszał? Naprawdę nie było żadnego powodu. Wszystko dlatego, że nie potrafiłam uporać się z głupimi myślami!

Po niefortunnym początku reszta spotkania też nie przebiegła dobrze.

- Jak się czujesz?

- Dzięki, przejdzie mi z czasem. A Ty?

- O, całkiem dobrze.

Znów kłamstwo. W rzeczywistości czułam się potwornie, powoli zaczynałam żałować, że w ogóle tu przysłam. To nie był dobry pomysł. Przypomniałam sobie o prezencie i zaczęłam szukać go w torbie.

- Mam coś dla ciebie. - Podałam mu paczuszkę. Naprawdę się ucieszył. - Wielkie dzięki!

Bardzo mnie tym wzruszył. Tak bardzo, że o mało co się nie rozplakałam. Ależ się zrobiłam sentymentalna! Co się ze mną dzieje?!

Nie byłam zbyt rozmowna, a Marek też nie palił się do pogawędki. Skończył nam się temat i żadne z nas nie wiedziało, co powiedzieć. W końcu przyjaciel wskazał na cały arsenał leków, stojący na nocnym stoliku. - Wszystko na nic. Nie ma żadnych lekarstw na choroby spowodowane wirusem. Można zwalczyć tylko objawy, nic więcej.

Teraz naprawdę musiałam stąd wyjść. Czułam, że nie wytrzymam tu dłużej. Pakowałam z powrotem rzeczy do mojej torby sportowej, jak do koła ratunkowego.

- Przykro mi, ale muszę już lecieć na trening. Spadną na mnie gromy, jeśli się spóźnię.

Następne kłamstwo. Nasza trenerka była bardzo wyrozumiała. Wstałam. - To na razie...

Tym razem nie próbowałam całować go na pożegnanie, tylko wyciągnęłam do niego rękę. Ujął ją. Jego dłoń była ciepła i spocona.

Z powodu korków dalsza jazda stanowiła istną drogę przez mękę. Ruch na ulicach jeszcze bardziej się nasilił. Właściwie wcale nie miałam ochoty na trening, ale perspektywa

siedzenia w domu i zamartwiania się była dla mnie jeszcze gorsza. Wołałam już siatkówkę! Mocniej nacisnęłam na pedały.

Przyjechałam trochę spóźniona, jednak szybko przebrałam się w strój i zdążyłam jeszcze na końcówkę rozgrzewki. Tego dnia ćwiczenia zmęczyły mnie bardziej niż zwykle. Prawdopodobnie straciłam energię na rowerze. Byłam zadowolona, kiedy w końcu rozpięliśmy siatkę na sali i zajęliśmy swoje pozycje.

Teraz też wszystko działo się tak, jakby ktoś rzucił na mnie urok. Ustawiłam się tak niefortunnie, jakbym nigdy nie grała w siatkówkę. Jednak nawet kiedy piłka leciała wprost na mnie, nie odbierałam jej lub trafiałam nią w siatkę. Popęniałam błąd za błędem, co nigdy mi się dotąd nie zdarzało.

Evelyn przyglądała się przez chwilę mojej kiepskiej grze, a potem wymieniła mnie na Miriam z ławki rezerwowych.

Miriam, nowa w drużynie, była niską i żwawą dziewczyną, która w swej nadgorliwości, podczas meczu, często wpadała z impetem na inne siatkarki.

Evelyn przyglądała się jej przez chwilę krytycznie i udzielała wskazówek. Potem podeszła do mnie.

- Nadine, co się dzieje? - spytała. - Jakież problemy?

Przez ułamek sekundy kusiło mnie, by powiedzieć jej o moich obawach. Evelyn można było zaufać. Jednak zrezygnowałam z tego zamiaru i przygotowałam dla niej wymówkę. Tym razem było to kłamstwo połowiczne.

- To wina adidasów - mruknęłam, wskazując na stopy. - Moje się rozleciały, a zapomniałam kupić sobie nowe. Pożyczyłam więc od mamy. Nosi wprawdzie ten sam numer co ja, jednak cisną mnie niemiłosiernie.

Na obu małych palcach rzeczywiście pojawiły mi się pęcherze.

- Hm - mruknęła jakby nieobecna duchem trenerka. Potem skoczyła na równe nogi i krzyknęła na Kim, która wystrzeliła piłkę.

- Co się dzisiaj z wami dzieje, do licha?! Wszystkie jesteście początkujące? Jak długo już z wami trenuję? Myślicie, że nie mam nic lepszego do roboty?

Najwidoczniej Evelyn też miała zły dzień. Wygłosiła ostrą mowę. Z tyłu stały wszystkie zawodniczki z opuszczonymi głowami - nieźle im się dostało. Siedziałam na ławce i miałam wyrzuty sumienia. Jednak złość Evelyn równie szybko znikła, jak się pojawiła. Trenerka uspokoiła się, kazała dziewczynom grać dalej, a sama znowu przysiadła się do mnie na ławce.

- Przykro mi - powiedziałam skruszona.

- Oszczędź sobie tych przeprosin i kup sobie lepiej nowe adidasy - burknęła. - Liczę na ciebie. W przeciwnym razie możemy już się pakować. Nigdy nie wygramy meczu, jeśli będziesz grać tak jak dzisiaj.

Spojrzała na mnie. Potem uśmiechnęła się nagle. Odwzajemniłam jej uśmiech i poczułam ulgę.

- Kup sobie nowe buty - powtórzyła. - Ale nie myśl, że tym załatwisz sprawę. Będziesz trenować do siódmych potów. Nie tylko ty, wy wszystkie. Do czasu rozgrywek w lecie chcę mieć superdrużynę.

Zaciekawiła mnie ta informacja i próbowałam wyciągnąć z niej coś więcej o jej planach, ale nie udało mi się.

- Liczę w szczególności na ciebie, rozumiesz? - podkreśliła jeszcze raz. Potem zajęła się znów grą.

Miałam mieszane uczucia. A więc Evelyn uważała mnie za najlepszą zawodniczkę. A jeśli w lecie odpadnę? Jeśli będę cierpieć na ni mniej, ni więcej, tylko na AIDS? Znowu pojawił się ten straszliwy, obezwładniający lęk.

Nie chciałam rozbeczeć się na ławce, więc bez słowa wstałam, pokuśtykałam do szatni i niedługo później jechałam już na rowerze do domu.

To był straszny weekend. W piątek nie udało mi się dodzwonić do poradni, ponieważ do domu wróciła już mama. W głowie miałam tylko jedną myśl, choć usilnie starałam się ją zagłuszyć. Nie chciałam, żeby rodzice zauważyli, że czymś się martwię. I to jeszcze pogorszyło sprawę. Gra i udawana wesołość najwyraźniej były ponad moje siły, gdyż kilkakrotnie w ciągu dnia musiałam walczyć ze sobą, by się nie rozplakać.

Oczywiście nie umknęło to uwagi rodziców. W końcu znają mnie od siedemnastu lat.

Kiedy w sobotnie popołudnie mama płukała naczynia, a ja je wycierałam, ostrożnie zaczęła mnie wypytywać.

- Nad, coś jest nie tak. Od kilku dni chodzisz jakaś taka zmieniona. Coś cię dręczy, czuję to.

Nie wytrzymałam. Nazwała mnie „Nad” - tak zawsze mówił do mnie Florian.

- To z powodu Marka - rozplakałam się. Przynajmniej w połowie powiedziałam prawdę.

- Pokłóciliście się?

- Nie. - Zaczepnęłam głęboko powietrza. - Ale nie wierzę, że coś z tego wyjdzie. - W jakimś stopniu odpowiadało to prawdzie. Jeśli okazałoby się, że jestem chora, to od razu zerwałabym z Markiem. Tak sobie obiecałam.

- Odczekaj trochę. Potrzeba czasu, zanim ludzie staną się sobie naprawdę bliscy.

Jeśli mam AIDS, wtedy Marek, tak czy owak, nie będzie chciał mieć ze mną nic wspólnego - miałam ochotę wykrzyknąć jej w twarz. Zamiast tego polerowałam talerz z taką zaciętością, że nagle rozległ się trzask i naczynie pękło na dwie części.

No i koniec z moim opanowaniem. Wpadłam do swojego pokoju, rzuciłam się na łóżko i bez opamiętania szlochałam w poduszkę.

Mama przyszła za mną i próbowała mnie uspokoić. Stłuczony talerz to drobiazg, a z Markiem pewnie też jeszcze wszystko się ułoży.

„A co ona wie?! Nic! Traktuje mnie jak małe dziecko!” Nie chciałam, żeby mnie pocieszała. Dla mnie nie było pocieszenia.

- Odejdź! - wrzasnęłam. - Zostaw mnie w spokoju! Wyszła bez słowa.

Potem zrobiło mi się oczywiście przykro. Jednakże w tym momencie po prostu nie mogłam znieść jej obecności. Nie chciałam mieć obok siebie nikogo, choć samej też mi było ciężko. Takie ciągłe udawanie stanowiło dla mnie ogromny ciężar. A do tego jeszcze ten strach! Nie opuszczał mnie ani na chwilę. Każdej nocy śniły mi się koszmary, z których

budziłam się z kołatającym sercem.

Po moim napadzie wściekłości nie zamieniłyśmy z mamą słowa. Gdy wychodziłam wieczorem na spotkanie z Lizą, nie zapytała mnie, jak to miała w zwyczaju, dokąd idę i kiedy wrócę.

Było mi smutno, że traktuje mnie jak powietrze. Niemniej jednak było mi łatwiej znieść to niż współczucie i próby pocieszania. Przynajmniej nie musiałam ciągle grać i bać się, że w końcu czymś się zdradzę.

Na umówionym miejscu czekała mnie dość niemiła niespodzianka. Liza nie przyszła sama. Przywiodła ze sobą Roberta, swojego chłopaka, który na co dzień studiował w Monachium. Niespodziewanie przyjechał w ten weekend do domu, a Liza nie chciała zawieść ani jego, ani mnie.

- Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko? - zapytała.

- Coś ty! - Uśmiechnęłam się do Roberta. Wyglądał na miłego chłopaka, swoje długie ciemnoblonde włosy związał w kucyk. Właściwie nie przeszkadzało mi, że też przyszedł. Zawsze lubiłam poznawać nowych ludzi.

W „Queen” niewiele się działo, ale było jeszcze dość wcześnie. Tłok zaczynał się dopiero około dziesiątej, a podczas weekendu nawet później.

Wyglądałam za znajomymi, ale oprócz Toma, DJ - a, i jego dziewczyny Danielle, nikogo nie zauważyłam.

Zajęliśmy stolik, z którego rozpościerał się dobry widok na salę. Liza rozejrzała się dokoła.

- Fajnie tutaj - przyznała.

Muzyka dudniła zbyt głośno, by można było zamienić ze sobą więcej niż kilka słów. Rozmawiałam chwilę z Robertem, który chętnie na to przystał. Nigdy bym nie próbowała odbić Lizie chłopaka. Po prostu dobrze mi się z nim rozmawiało, chociaż nie koncentrowałam się specjalnie na tym, co mówił.

Później trochę tańczyliśmy, w trójkę, ale każde osobno, zazwyczaj świetnie wczuwał się w rytm, jednak nie tamtego wieczoru. Odniosłam wrażenie, że między mną a resztą świata istnieje niewidzialna bariera. Nie mogłam pisać ani słowa o moich obawach - i na odwrót - nic z zewnątrz nie było w stanie mnie poruszyć. Tak, jakby gdzieś głęboko, w środku, coś we mnie obumarło.

Kiedy rozległy się dźwięki *Streets of Philadelphia* Bruce'a Springsteena* , poczułam,

*Motyw muzyczny z filmu *Philadelphia (Filadelfia)* opowiadającego historię prawnika chorego na AIDS. Tom Hanks zdobył Oscara za tę rolę (przyp. red.).

że muszę natychmiast zaczerpnąć świeżego powietrza.

- Świetny pomysł - przytaknęła Liza i wyszła razem ze mną.

Przed wejściem do dyskoteki wciągałyśmy głęboko w płuca zimne nocne powietrze i słuchałyśmy przytłumionych dźwięków dobiegających nas z wewnątrz budynku.

- Ładna piosenka - szepnęła Liza. A ponieważ nic nie odparłam, zapytała: - Nie lubisz jej?

- Lubię.

Ta piosenka zawsze mi się podobała, jednak teraz, słuchając jej, czułam, że coś ściska mnie za gardło.

- Oglądałam ostatnio z Robertem w telewizji *Filadelfię*. Opowiada o chorym na AIDS...

Zanim zdążyła opowiedzieć mi całą historię, pojawiła się Sara. Jedną z jej największych umiejętności jest to, że innych nie dopuszcza do głosu. Od razu mnie zaabsorbowała. Przedstawiłam jej Lizę.

- Cześć, czy my się skądś nie znamy? - Sara zmarszczyła czoło. - Jeśli nie, to musisz mieć sobowtóra.

Zaśmiała się, potrząsając długimi, ciemnymi lokami, w które wplecione miała złote tasiemki. Wyglądało to super. Sara zawsze przykładała wagę do ubioru.

- Dzisiaj chyba mało ludzi, co? - zauważyła.

To prawda. Tego wieczoru wszyscy stali bywalcy dyskoteki nie dopisali. Może gdzieś była jakaś impreza, o której nie wiedziałam.

Sara weszła z nami do środka i przysiadła się do naszego stolika. Natychmiast - mimo panującego hałasu - zaczęła prowadzić ożywioną rozmowę z Robertem. Potem poprosiła go do tańca. Liza spokojnie przyglądała się obojgu przez jakiś czas, ale gdy przy wolnej piosence Sara zarzuciła Robertowi ręce na szyję, widać było, że się zdenerwowała.

- Może pójdziemy gdzie indziej? - zaproponowałam. Przyjaciółka skinęła potakująco głową. - Byłoby dobrze. Kiedy piosenka dobiegła końca i oboje wrócili do stolika.

Liza powiedziała Robertowi, że chce już iść. Wyglądał na rozczarowanego.

- Już teraz?

Zobaczyłam, że Liza zrobiła kwaśną minę.

- Możesz zostać, jeśli chcesz.

Bez ceregieli chwyciła swoją kurtkę i w pośpiechu wyszła. Ledwo co za nią nadażyłam. Liza miała dość szybki chód. Czekala na mnie na zewnątrz, przed wejściem. Widziałam, jak ze sobą walczy.

- Idzie? - spytała.

Dyskretnie rzuciłam okiem na salę. Sara i Robert wciąż byli przy stoliku, to znaczy, Robert opierał się o niego, a Sara z powrotem usiadła. Potem jednak wstała. Najpierw myślałam, że teraz oboje wyjdą z dyskoteki, jednak ruszyli w kierunku baru.

- Chyba nie. - Szczegóły zostawiłam dla siebie.

- Chodź, idziemy - sapnęła Liza. - Nie chcę, by pomyślał, że czekam na niego.

To był długi nocny spacer. Było cholernie zimno, prawie zero stopni, ale Liza zdawała się w ogóle tego nie odczuwać, zwierzała mi się. Już od dłuższego czasu psuło się między nią a Robertem. Zdziwiło mnie to, gdyż na początku wieczoru oboje zachowywali się jak zakochana para.

- Wszystko się zmieniło, od kiedy rozpoczął studia w Monachium - opowiadała. Teraz już nawet nie starała się powstrzymać łez. - Stał mi się obcy. Mam wrażenie, że już od dawna nie gra między nami. Mówiła wszystko od serca. Cierpliwie słuchałam, niemal zamarzając z zimna. Moja kurtka nie nadawała się na długie spacery przy takich temperaturach. Obserwowanie rozpadu więzi między dwojgiem ludzi nie było zbyt wesołym zajęciem, nawet jeśli nie chodziło o własny związek.

Liza uczepiła się mojego ramienia. - To takie okrutne, Nadine. Nigdy bym nie pomyślała, że to się tak szybko skończy. - Pociągnęła nosem i sięgnęła do torebki po chusteczki higieniczne. - Nawet za mną nie wyszedł. Jakież to... poniżające!

- Ale przecież nie jesteś zdana na tego typu - przekonywałam ją, myśląc o tym, jak Robert zniknął z Sarą gdzieś przy barze. - Nie jesteś jego podnóżkiem. Nie daj się tak traktować!

- Ach, Nadine! - Liza przystanęła na mostku i ciężko westchnęła. - Życie to koszmar, naprawdę!

Milcząc, opierałyśmy się o poręcz i spoglądałyśmy na wąski strumień, który przepływał przez starówkę. Na ciemnej tafli migotały jasne refleksy.

Może powinnam jej powiedzieć? Przemożna chęć porozmawiania z kimś otwarcie stawała się coraz większa. Jak balon, który pęcznieje. Jeśli nie zacznę wkrótce mówić, to pękne ze strachu.

- Co byś zrobiła, gdybyś miała AIDS? - spytałam, niej patrząc na Lizę.

- Robert nie ma AIDS - odparła natychmiast. - Skąd ci to przyszło do głowy?

Zrozumiałam, że wybrałam zły moment na zwierzenia. Liza za bardzo była zajęta własnymi zmartwieniami.

- Tak tylko spytałam - mruknęłam, usiłując, żeby zabrzmiało to jak najbardziej

naturalnie.

- Zresztą, zawsze używaliśmy „gumki” - mruknęła.

- No, tak... - szepnęłam.

- Robert nie należy do tych, którzy sypiają z kim popadnie - broniła go.

- Wcale tak nie myślałam.

- Nigdy nie brał narkotyków. Nie zauważyłam też, żeby miał jakieś ciagoty gejowskie.

To gdzie miałby złapać AIDS?

Zamknęłam oczy. AIDS mnie nie dotyczy. Na AIDS chorują inni. Kto ma AIDS, sam jest sobie winien. Zawsze te same osądy.

- Zimno mi - powiedziała przyjaciółka. - Chodźmy już, dobrze?

Tak więc ruszyliśmy przed siebie, a ja nadal wysłuchiwałam jej zwierzeń. Strach, że się zaraziłam, towarzyszył mi na każdym kroku.

Podczas gdy Liza mówiła, ja - przy przechodzeniu przez jezdnię - bawiłam się w wyliczankę: jeśli lewą nogą wejść na chodnik, to nie mam AIDS.

Prawa, lewa. Teraz krawężnik. Prawa.

A więc mam.

Głupota! Gdybym zrobiła większy krok, weszłabym na chodnik lewą nogą. Co za głupia gra. I tak się nie liczy.

W pewnej chwili Liza - mimo swojego przygnębienia - zauważyła, że łazimy bez celu i że na takie wałęsanie się jest stanowczo za zimno.

- Rany boskie! - Zatrzymała się. - A gdzie właściwie jesteśmy? Też się tak zmęczyłaś? Może poszukamy jakiejś restauracji i coś zjemy?

Palce miałam całkiem zeszywniałe od zimna, zdrętwiały mi ramiona. Nie chciało mi się nigdzie iść, nie czułam też głodu.

- Kompletnie zepsuty wieczór - stwierdziła Liza. - Przykro mi. Jeszcze tobie obrzydziłam weekend.

Nie miała pojęcia, że i bez tego wszystko mi obrzydło.

- Nie powinnyśmy były iść do „Queen” - powiedziałam. - Gdybyśmy nie spotkały Sary, nic by się nie stało.

Liza przygryzła wargi. Potem pokręciła głową. - Stałoby się - zaprzeczyła. - Wcześniej lub później. Awantura od dawna już wisiała w powietrzu.

Starła się z całych sił, by nie pokazać po sobie, jak okropnie się czuje, ale mimo to odgadłam jej stan ducha.

Wtedy, z Florianem, czułam się podobnie. Nieszczęśliwa miłość zawsze boli,

obojętnie, z której strony dotknie.

Doszliśmy do najbliższego przystanku autobusowego i zagłębiłyśmy się w lekturze rozkładu jazdy. Wiata chroniła nas przynajmniej trochę przed podmuchami zimnego wiatru. Miałyśmy szczęście. Po chwili podjechał autobus, który zawiózł nas do centrum. Pół godziny później byłam z powrotem w domu.

Rodzice już spali. Przemarznięta, padałam ze zmęczenia. Kiedy położyłam się do łóżka, dygotałam z zimna. Wyciągnęłam z szafy koc elektryczny, którego nie używałam od lat. Powoli robiło mi się ciepło, ale mimo to czułam się kiepsko i długo nie mogłam zasnąć.

Następnego ranka obudziłam się z okropnym bólem głowy. Łóżko było przegrzane. Najwidoczniej nie wyłączyłam całkowicie koca elektrycznego, tylko przełączyłam na najniższy stopień. Kiedy rzuciłam wzrokiem na budzik, stwierdziłam, że jest już wpół do dwunastej.

Przy wstawaniu na moment zrobiło mi się ciemno przed oczyma. Uchwyciłam się mocno brzegu łóżka i próbowałam spokojnie oddychać. Kolana uginały się pode mną, jakby były z waty. Udało mi się jakoś dojść do łazienki. Spojrzałam na swoje odbicie w lustrze. Wyglądałam okropnie: blada twarz z czerwonymi plamami i zapuchniętymi oczami. Zupełnie osłabiona przysiadłam na brzegu wanny. Nie miałam siły na nic.

W mieszkaniu było cicho jak makiem zasiał. Gdzie się podziiali rodzice? Resztką sił, chwiejnym krokiem poszłam do kuchni. Nikogo nie było. Na stole znalazłam banknot i kartkę, napisaną ręką taty.

Dzień dobry, Nadine!

Jedziemy na wystawę. Nie wiemy, kiedy wrócimy. Pieniądze są na pizzę albo co tam wolisz sobie zjeść.

Całuję,

Tatúś.

Zdziwiło mnie i trochę poirytowało, że rodzice nie uwzględnili mnie w swoich planach. Nie obudzili mnie i nic nie powiedzieli, że chcą wyjechać.

OK, to pewnie reakcja na wczorajszą kłótnię z mamą.

Co to w ogóle za wystawa? Sztuką nie interesował się ani tato, ani mama - a w każdym razie nie na tyle, by chodzić do muzeum lub do galerii. Po chwili przypomniałam sobie, że niedawno rodzice rozmawiali o tym, by obejrzeć gotowe domy z prefabrykatów. To na pewno to. Mama wciąż jeszcze pielęgnowała marzenie o własnym domu z ogrodem.

Usiadłam przy stole kuchennym i przez chwilę patrzyłam przed siebie. Dochodziło południe, mimo tak późnej pory nie byłam głodna. Wręcz przeciwnie. Już na samą myśl o je-

dzeniu robiło mi się niedobrze. Chciało mi się płakać, poza tym przy przelatykaniu bolało mnie gardło. Znużona oparłam brodę na rękę i dotknęłam przypadkowo nasady szyi. Wymacałam grubą gułę, która bolała przy naciskaniu. Po drugiej stronie odkryłam jeszcze drugą. Miałam powiększone ślinianki! To jeden z objawów AIDS!

„O mój Boże! A jednak jestem chora!”

Zrozpaczona rozplakałam się. Teraz nie mogłam się tego wyprzeć. Teraz wiedziałam na pewno. „Jestem zarażona! Umrę!”

A nawet nie ukończyłam jeszcze siedemnastu lat! Cholera, chcę żyć!

Na chwiejnych nogach doszłam do ubikacji i zwymiotowałam. Nie było tego dużo, bo dawno nic nie jadłam. Mimo to dławiałam się i dławiałam w śmiertelnym strachu do momentu, aż płynęła już tylko żółć. Miałam uczucie, że umrę na miejscu.

Nie mogłam się z nikim pożegnać. Ani z Markiem, ani z rodzicami. Marek nigdy nie dowie się, jak bardzo go kochałam. Tak chciałabym powiedzieć mamie, jak mi przykro z powodu wczorajszej kłótni. Teraz na wszystko było za późno! Kto mnie znajdzie, tutaj, na białej posadzce łazienki? Pewnie mama. Zawsze jako pierwsza wchodziła do mieszkania, podczas gdy tato wprowadzał jeszcze samochód do garażu.

Dlaczego akurat dzisiaj zostawili mnie samą?

W którejś chwili dotarło do mnie, że jednak nie umieram. W każdym razie nie od razu. Nie straciłam nawet czucia. Podrosłam się i usiadłam wyczerpana na klapie ubikacji. Ciągle Jeszcze przebiegały mnie lodowate dreszcze, ale przeszły mi mdłości i miałam jaśniejszy umysł. Znów mogłam myśleć.

Ile jeszcze czasu mi zostało? Kilka miesięcy? A może tylko tygodni? Ponownie dotknęłam guł. Były tam, całkiem wyczuwalne. Dwa wielkie, obrzydliwe guzy.

Naciskałam je dookoła, tak jakby od tego miały się zmniejszyć i zniknąć.

Znowu wpadłam w panikę.

Dlaczego akurat ja? Florian był jedynym chłopakiem, z którym kiedykolwiek spałam. Inni ciągle zmieniali partnerów i im nic się nie przytrafiło!

- Do dupy! - Wściekła chwyciłam za szczotkę do masażu i z całej siły cisnęłam nią o podłogę. Milcząc, patrzyłam na nią. Czułam się pusta i wypompowana. Mój umysł był w tej chwili całkowicie wyłączony - nie potrafiłam myśleć racjonalnie w tej chwili.

Kiedy poczułam, siedząc w przykurczonej pozycji, że zdrętwiały mi nogi, oprzytomniałam nieco. Pokuśtykałam z powrotem do swojego pokoju. Poczulałam okropne mrowienie, gdy krew ponownie zaczęła krążyć. Upadłam na łóżko.

O Boże, znowu zachowałam się jak idiotka!

Przeziębienie, zapalenie gardła - przecież chorowałam na to niezliczoną ilość razy! Te symptomy nic nie znaczą! Wyciągnęłam z szafki nocnej lusterko kieszonkowe i obejrzałam dokładnie gardło. No, proszę. Podniebienie i migdałki były zaczerwienione i powiększone. To wyglądało bardziej na anginę niż na AIDS.

Opadłam wyczerpana na poduszki.

A jeśli jednak AIDS?

Strach dopadał mnie falami. Raz udawało mi się go usnąć, a raz powodował drzenie na całym ciele. Wzięłam z domowej apteczki pastylki do ssania i zaparzyłam sobie dzbanek herbatki szalwiowej.

Późnym popołudniem wrócili rodzice. Na szczęście panowałam już jakoś nad swoimi emocjami.

- Cześć, Nadine, jesteśmy - zabrzmiał od drzwi wesoły głos mamy, tak jakbyśmy się nigdy nie kłóciły. W rękę trzymała mnóstwo prospektów. Była ubrana raczej odświętnie.

Kiedy odkryła, że ubrana w koszulę nocną popijam swoją herbatkę, spytała zatroskana: - Co się stało? Jesteś chora? Kiwnęłam głową. Moje gardło do tego czasu tak napuchło, że jedynym dźwiękiem, jaki mogłam z siebie jeszcze wydać, był żalospny skrzek.

- Ach, bidulko! - Dotknęła mojego czoła. - Masz gorączkę. Mierzyłaś sobie temperaturę?

Chwilkę później znów leżałam w łóżku. Mama sprawdziła termometr.

- Trzydzieści dziewięć i trzy kreski. To mi się nie podoba. W każdym razie nie idziesz jutro do szkoły.

No i dobrze. Wbijanie sobie teraz do bolącej głowy wzorów matematycznych czy obcych słówek i tak nie miało sensu. Mama była w swoim żywiole. Zrobiła mi zimny okład, by zbić gorączkę, i przyniosła gorące mleko z miodem.

- Mam powiększone ślinianki - wymamrotałam.

- Najlepiej będzie, jeśli zadzwonię po doktora Schmidta - orzekła.

Jęknęłam. Doktor Schmidt przy moim łóżku - to wywołało wspomnienie diabelnie swędzącej ospy wietrznej. Poza tym wolałam porozmawiać z lekarzem bez świadków.

- Pójdę jutro sama do przychodni - zaproponowałam. Mama spojrzała na mnie sceptycznie. - O ile poczujesz się rano lepiej... Zobaczymy. Zdecydujemy jutro.

W poniedziałek rano nie czułam się ani trochę lepiej. Jednak byłam zdecydowana pójść do przychodni. Kiedy mama Przyszła z termometrem, w tajemnicy zbiłam trochę temperaturę.

- Trzydzieści siedem i sześć kresek - odczytała. - Już prawie nie masz gorączki.
- Czuję się świetnie - skłamałam.
- Na szczególnie zdrową to ty jednak mi nie wyglądasz.
- Gardło mnie jeszcze potwornie boli.

Mama zarejestrowała mnie telefonicznie do doktora Schmidta i od razu po śniadaniu mogłam iść. Tato zaoferował się, że mnie podwiezie.

Miałam zimne dreszcze i mdłości, jednak robiłam wszystko, żeby rodzice niczego nie zauważyli. Dlatego starałam się, by moje ruchy były sprężyste. Tato wysadził mnie przed przychodnią.

- Dzięki, tato - powiedziałam i z trudem wysiadłam z auta. Przy najmniejszym wysiłku zlewałam się potem.

- Może pójde z tobą? - dopytywał się z troską w głosie.

- Nie jestem już dzieckiem - broniłam się. - Nie czekaj też na mnie. To na pewno trochę potrwa. Wrócę autobusem.

- Na pewno? - spytał sceptycznie.

- Jasne.

Poczekalam, aż uruchomi samochód i odjedzie. Potem otworzyłam drzwi do przychodni. W środku było tłoczno. W poniedziałki zwykle czekało dużo pacjentów. W rejestracji pokazałam swoją książeczkę ubezpieczeniową, a potem zajęłam miejsce w poczekalni.

Czekali głównie starsi ludzie. Młoda mama próbowała odciągnąć dwójkę swoich dzieci od wdrapania się jednocześnie na ledwo co trzymającego się ze starości bujanego konika z drewna. Jakiś chłopak, na oko w moim wieku, przycupnął w rogu. Prawą rękę miał w gipsie.

Czy ktoś tutaj tak cierpi jak ja? Pewnie nikt. Czułam, że jestem na straconej pozycji. Aby odegnać natrętne myśli, wzięłam do ręki jedno z czasopism. Jednak po jakimś czasie zauważyłam, że w ogóle nie rozumiem, co czytam.

Głowę miałam zaprzątniętą czekającym mnie badaniem. Jak przebiegnie? Jak zareaguje doktor Schmidt, kiedy powiem mu o swoich podejrzeniach?

O mój Boże, jak ja się boję. Gdybym mogła zobaczyć przyszłość! W jakim nastroju opuszczę przychodnię? Czy będę tym samym człowiekiem?

Nie czekałam tak długo, jak się obawiałam. Wkrótce wyczytano moje nazwisko, a jasnowłosa asystentka lekarza zaprowadziła mnie do jego gabinetu. Chwilkę potem wszedł doktor Schmidt. Wyglądał dokładnie tak samo jak kiedyś.

- Cześć, Nadine! - Powitał mnie mocnym uściskiem dłoni. - Co ci dolega?

- Boli mnie gardło - odparłam i opisałam objawy.

- Masz gorączkę? - spytał krótko. Potaknęłam.

- Jak wysoką?

- Wczoraj po południu trzydzieści dziewięć i trzy kreski, a dzisiaj rano - trzydzieści osiem i osiem.

Obserwowałam lekarza i z jego twarzy usiłowałam odgadnąć myśli. Nie udało mi się jednak. Jego mina niczego nie zdradzała.

- No to zobaczymy, jak to wygląda.

Zajrzał mi do gardła, pomacał szyję i poświecił mi w uszy.

- Hm, to mi wygląda na grypcę, która akurat szaleje. - Mruknął. - Ale u ciebie doszła chyba jeszcze infekcja bakteryjna. Przepiszę ci coś na ból gardła.

- Czy to bardzo źle wygląda? - spytałam. - Jest pan pewien, że mi przejdzie?

Doktor Schmidt popatrzył na mnie ze zdziwieniem. - Ależ naturalnie. Dlaczego pytasz? Wprawdzie niekiedy zdarzają się komplikacje, ale jeśli będziesz zażywała lekarstwa i stosowała się do moich zaleceń, to najpóźniej do końca przyszłego tygodnia będziesz znów w formie.

- Na pewno? - zapytałam go jeszcze raz. Lekarz wyjął stetoskop z kieszeni.

- Oślucham cię jeszcze raz dla pewności - powiedział. Podniosłam wysoko sweter, a doktor Schmidt opukał mnie zimnym metalowym przyrządem.

- Serduszko puka jak szalone - stwierdził. - To nie tylko z powodu gorączki. Taka jesteś zdenerwowana?

Kiwnęłam głową.

Odjechał do tyłu na krześle obrotowym i zaczął osłuchiwać mi plecy. - Proszę, weź głęboki oddech. Przytrzymaj powietrze. Dobrze.

Musiałam go zapytać. Teraz albo nigdy. - Czy jest możliwe, abym miała AIDS?

Nie odparł od razu, tak że pomyślałam, że może nie dotarło do niego moje pytanie. Na pewno nie dałabym rady zapytać go jeszcze raz. Jednak usłyszał. Podjechał krzesłem do biurka i spojrzał na mnie.

- Rozumiem, Nadine, że ty i twoje pokolenie odczuwacie ogromny strach przed tą chorobą. Szczególnie teraz, gdy dopiero odkrywacie swoją seksualność. Osobiście radzę, by nie bagatelizować niebezpieczeństwa i przezornie zawsze używać prezerwatywy.

Sięgnął do parapetu, na którym leżały foldery reklamowe, i podał mi niewielką broszurę. - Tutaj jest bardzo dobrze wyjaśnione, co to jest AIDS i jak przenosi się wirus HIV. Możesz sobie to zachować.

- Dziękuję - odparłam. Chciałam schować zeszycik do torby, ale ręka tak mi drżała, że upuściłam go na podłogę.

- Hopla - powiedział lekarz, którego uwagi nie uszło moje zdenerwowanie. - Oczywiście, jeśli obawiasz się, że mogłaś się zakazić, to możemy zrobić test dla pewności.

Przytaknęłam. Test. Tak, to było to, czego potrzebowałam. Nie mogłam już dłużej znieść tej niepewności. Doktor Schmidt gryzmolił coś na karteczce.

- Mogę ci teraz pobrać krew do badania.

- A jak długo trzeba czekać na wynik? - spytałam.

- Około tygodnia. Nie musisz przychodzić drugi raz. Wystarczy, że zadzwonisz.

Doktor Schmidt wyszedł z gabinetu i po chwili wrócił. Na lewym przedramieniu zacisnął mi gumową opaskę.

- Czy robi ci się słabo przy kluciu? - zapytał. - Możesz się na wszelki wypadek położyć.

Pokręciłam przecząco głową. Nie bałam się pobierania krwi. Mogłam nawet się temu przyglądać. Delikatne ukłucie igły ledwo co poczułam. Obserwowałam, jak plastikowa strzykawka powoli napelnia się moją krwią.

- Gotowe - oznajmił lekarz. Wyciągnął igłę, podał mi wacik, który przycisnęłam do ranki, i odwiązał opaskę. - Posiedź tu jeszcze parę minut. Zaraz przyjdzie Gaby i przyklei ci plaster. Po receptę zgłoś się do rejestracji, a gdybyś poczuła się gorzej, to przyjdź do mnie jeszcze raz. Podał mi rękę na pożegnanie. - Cześć, Nadine.

- Dziękuję - szepnęłam. Potem zostałam sama w gabinecie.

Poczułam ulgę. Doktor Schmidt nie sądził, że moja choroba ma coś wspólnego z AIDS, ale na wszelki wypadek zrobiłam test. Teraz muszę tylko poczekać na wynik. Za tydzień będę już wiedzieć na pewno. Przyszła asystentka lekarza i przykleiła mi plaster. Krew już przestała płynąć. Wzięłam receptę i opuściłam przychodnię. Czułam się o wiele lepiej. Zrobiłam test, stało się. Nie musiałam już się dłużej zamartwiać, gdzie i jak go zrobić. Miałam wrażenie, że spadł mi ciężar z serca. Wszystko okazało się o wiele prostsze niż myślałam.

W aptece wszystkie z przepisanych mi lekarstw były dostępne, na autobus też nie musiałam długo czekać - szło mi jak z płatka. Przybywszy do domu, byłam naprawdę wesołym nastroju. Uskrzydliła mnie również perspektywa zwolnienia z lekcji na kilka dni. Dopiero teraz zdałam sobie sprawę z tego, jak ciężko musiałam pracować w ostatnim czasie. Teraz mogłam w końcu poleniuchować i posłuchać w spokoju muzyki, bez wyrzutów sumienia.

Ledwo co weszłam do domu, a rozległ się dźwięk telefonu. Mama dzwoniła z banku, w którym pracowała, by dowiedzieć się, jak było u lekarza.

Powiedziałam jej, jakie leki mi przepisał i że dał mi zwolnienie na kilka dni. Nie wspomniałam nic o teście na AIDS, a mama od razu poznała po moim głosie, że jestem w o wiele lepszym nastroju niż rano.

- Jeśli chcesz, to wezmę wolne dziś po południu - zaproponowała. Uśmiechnęłam się mimo woli. Znow mnie chciała rozpieszczać.

- Nie musisz, dam sobie radę.

Poradziła mi, żebym wzięła z jej sypialni mały przenośny telewizor i postawiła w swoim pokoju. Żebyś się nie nudziła.

- Dzięki.

- Przyniosę ci wieczorem coś lekkiego do jedzenia. Na co masz ochotę?

Właściwie nie miałam apetytu, ale kiedy mama tak się starała, nie miałam serca jej odmówić. Odłożyłam słuchawkę i poczułam się zmęczona tą rozmową. Myślałam tylko o tym, by położyć się do łóżka. Zdażyłam się jeszcze rozebrać i zażyć lekarstwa. Chwilę potem zasnęłam.

Nie poszłam do szkoły przez cały tydzień. Liza zadzwoniła do mnie kilka razy i przekazała mi zadania domowe, ale ja byłam zbyt osłabiona, by cokolwiek robić. W pierwszych dniach choroby czułam się niesamowicie zmęczona i nawet najnowsza plotka ze szkoły nie wzbudziła mojego zainteresowania.

Rzekomo pani Frank i młody praktykant z matematyki mieli romans: widziano ich razem poza szkołą co najmniej kilka razy.

- Naprawdę? - spytałam apatycznie.

- O ludu, taka sensacja, a ty nic! - westchnęła Liza. - Z tobą w ogóle nie da się teraz porozmawiać. Przecież on mógłby być jej synem! To udowadnia tezę, że kobiety po czterdziestce wolą młodszych mężczyzn, nawet w naszej szkole.

Nie mogłam powstrzymać głośnego ziewnięcia.

- Połóż się z powrotem do łóżka - powiedziała przyjaciółka. - Rzeczywiście, nie jesteś

w formie. Zadzwońię innym razem. No i wracaj szybko do zdrowia.

Chyba lekarstwa tak mnie osłabiły. Poza tym były skuteczne - ból gardła minął. Wynik testu na HIV miałam odebrać na początku następnego tygodnia. Broszurkę, którą dał mi doktor Schmidt, szybko przekartkowałam i wrzuciłam na dno szuflady.

W piątek poczułam się wreszcie lepiej. Może dlatego, że zadzwonił Marek? Ucieszyłam się na dźwięk jego głosu. Marek był dość skruszony. - Naprawdę przykro mi, że zaraziłaś się ode mnie.

Przy słowach „zaraziłaś się” mimowolnie się wzdrygnęłam.

- Jesteś na mnie zła? Chciałem odezwać się wcześniej, ale ciągle coś stało mi na przeszkodzie. Mogę odwiedzić cię dziś po południu?

- Sorry - odparłam. - Ale nie mam teraz ochoty na żadne odwiedziny. Wyglądam okropnie, uwierz mi.

Cicho się zaśmiał. - Jakoś sobie nie mogę tego wyobrazić.

- A jednak. Musiałabym umyć głowę, a tyłu pryszczycy to już od dawna nie miałam, od kiedy skończyłam trzynaście lat. Poza tym na pewno bym cię zaraziła.

- No, tak... - w jego głosie wyczułam rozczarowanie. - Ale zadzwonić mogę?

Tego nie mogłam mu zabronić.

Później, po południu, mama przyniosła mi do pokoju czerwoną różę.

Przy łódźce wisiała zrolowana karteczka.

Dużo zdrowia. Całuję

Marek.

Uśmiechnęłam się. To było bardzo miłe z jego strony. Może będzie z nas jeszcze para?

Jednak najpierw musiałam dowiedzieć się o wyniku testu!

Mama miała dla mnie jeszcze jedną niespodziankę. Na łóżku położyła nowiuteńką parę adidasów.

- Abyś szybciej wyzdrowiała.

- Ale ja już teraz czuję się całkiem dobrze - odpowiedziałam. W koszuli nocnej przymierzyłam buty. Pasowały jak ulał.

- Super! Dzięki!

Jak oni wszyscy troszczyli się o mnie! To było wspaniałe uczucie.

- W takich butach wreszcie zacznę porządnie trenować od przyszłego tygodnia.

- Tylko nie przesadz z tym treningiem - przestrzegła mnie mama.

Może mogłabym wrócić do szkoły już w poniedziałek? Spędzenie całego dnia w domu

groziło nudą. Zostać w łóżku Jeden, dwa dni było całkiem fajne, ale na dłuższą metę - nużące.

Z nudów zaczęłam czytać *Przeminęło z wiatrem*, ale po dobrnięciu do pięćdziesiątej strony dałam sobie spokój. Było dla mnie tajemnicą, jak to możliwe, że ta powieść stała się kultową książką całych pokoleń. Ja w każdym razie się do niej nie przekonałam.

W sobotę o dziewiątej rano rozległ się dźwięk telefonu. Rodzice nie wstali jeszcze z łóżka. W soboty zawsze później jedliśmy śniadanie. Wiedziałam, że po południu mają spotkanie z doradcą finansowym, od którego chcieli uzyskać informacje o ulgach podatkowych i korzystnych kredytach. Wymarzony domek z ogródkiem stawał się coraz bardziej realny.

W pierwszej chwili pomyślałam, że doradca chce przesunąć termin spotkania. A ponieważ już wstałam z łóżka, odebrałam telefon. Po drugiej stronie był doktor Schmidt. Spytał mnie, czy znalazłabym czas, by jeszcze przed południem przyjść do przychodni.

W głowie rozległy mi się przeraźliwe dźwięki syren. W soboty nie było regularnych przyjęć pacjentów. To musiało mieć coś wspólnego z testem.

- Czy jest już wynik? - spytałam, wstrzymując oddech.

- Chciałbym z tobą porozmawiać - wykręcił się od odpowiedzi. - To widzimy się około dziesiątej? Dobrze? W razie, gdybyś wolała później, zadzwoń, proszę, na mój domowy numer.

- Tak - szepnęłam.

- Do zobaczenia - powiedział doktor i rozłączył się. Jak odurzona nadal trzymałam słuchawkę w ręku. Dlaczego miałam iść do przychodni?

O tej porze?

Dlaczego doktor Schmidt zadzwonił do mnie osobiście? Właściwie przeczuwałam już, jaka jest odpowiedź na te pytania.

Kiedy doktor Schmidt otworzył drzwi, od razu wiedziałam, że przecucie mnie nie myliło. Poznałam to po jego twarzy.

- Test... - wybełkotałam.

- Wejść do środka - powiedział i zamknął za mną drzwi. - Usiądź.

Zajął miejsce naprzeciw mnie. Przychodnia sprawiała wrażenie wymarłej. Poza nami nie było nikogo. To podkreśliło jeszcze powagę sytuacji. Na biurku doktora zobaczyłam swoją kartę.

- Wynik testu przyszedł dziś rano - powiedział doktor Schmidt, patrząc na mnie.

Jakaś wielka gruda siedziała mi w gardle. Przełknęłam ślinę. Nadaremno, nie przeszła!

- Jesteś nosicielką wirusa HIV, Nadine. Nosicielką! Nie byłam w stanie wykrztusić słowa. To, czego tak bardzo się obawiałam, właśnie się stało. „Jestem zarażona!”

„Mam to!”

„Umrę!”

Doktor Schmidt położył mi dłoń na ramieniu.

- Wiem, że ciężko to pojąć. Ale to nie oznacza od razu końca, Nadine.

Wtedy rozplakałam się na głos. Bez oporów. Było mi Wszystko jedno.

Nosicielka!

Nosiłam w sobie wirusa! Szerzył się w moich komórkach, by mnie uśmiercić!

Wszystkie nadzieje i cała odzyskana energia gdzieś znikły. W jednej chwili wszystko ze mnie uszło. Byłam już tylko Pustą powłoką. Przedemną wznosił się mur, wysoki i nie do Przejścia. Nazywał się AIDS i oznaczał śmierć.

Straciłam poczucie czasu. W pewnej chwili dotarło do mnie, że doktor Schmidt nieprzerwanie mówi. Nie rozumiałam sensu jego słów. Mówił rzeczy, które brzmiały znajomo, ale ich znaczenia po prostu nie rozumiałam.

Kiedy ujął mnie za rękę, popatrzyłam na niego. Zauważyłam, że wygląda o wiele starszej niż w poniedziałek. Od skrzydełek nosa do ust zarysowały mu się głębokie bruzdy. Policzki były obwisłe i zapadnięte. Mimo okularów, pod oczyma odznaczały się wyraźnie worki. Wszystko to zarejestrowałam lotem błyskawicy z fotograficzną dokładnością. Ten obraz, ów straszny moment odcisnął mi się na zawsze w pamięci.

- Nadine, jesteś teraz w szoku - powiedział. - Rozumiem cię bardzo dobrze. Ale musisz pojąć, że twoje życie toczy się nadal, także teraz, z wirusem HIV.

Wpatrywałam się w niego. Życie? Czy to jakiś żart? Przecież to jawna kpina. Miałam

umrzeć. Dobrze sobie!

- Musisz zrozumieć różnicę między AIDS a wirusem HIV - wyjaśnił lekarz. - Wiele osób myli te dwa pojęcia. Test wykazał wyłącznie to, że jesteś nosicielką wirusa HIV. Możesz z tym żyć przez wiele lat, nawet nic nie spostrzegłszy. Niektórzy ludzie są nosicielami już ponad dziesięć lat, a mimo to choroba się u nich nie rozwinęła. A niektórzy nawet i dłużej. Być może istnieją nawet osoby, u których wykryto wirusa, a które nigdy nie zachorowały na AIDS. Usiłowałam mnie pocieszyć i dać nadzieję.

- Jednak większość umiera - odparłam szorstko. Nie zaprzeczył.

- Zgadza się, Nadine - przytaknął. - Jednak nawet jeśli już rozwinęła się choroba, to wcale nie oznacza, że umiera się w ciągu kilku tygodni lub miesięcy. Z AIDS można żyć latami. Będą okresy, w których będziesz się dobrze czuła i mogła robić prawie wszystko.

Pomyślałam o zdjęciach w czasopiśmie, o ludziach, w których organizmach ta choroba poczyniła straszliwe spustoszenia. Byłam zrozpaczona. Doktor Schmidt mógł mi wiele opowiadać. Ale przecież on nie nosił w sobie tego śmiertelnego wirusa. Prawdopodobnie chciał mi tylko dodać jakoś odwagi. Znowu się rozplakałam na cały głos. Nie chciałam umierać, ani teraz, ani za pięć, dziesięć lat. Chciałam być zdrowa, tak jak inni. Dlaczego właśnie mnie to spotkało?

- Nawet nie mam jeszcze siedemnastu lat - westchnęłam. - To takie podłe, niesprawiedliwe.

Objął mnie i pozwolił mi wypłakać się na swoim ramieniu. - Być nosicielem HIV nie oznacza, że wszystko już się skończyło - powtórzył.

- Czy na to naprawdę nie ma lekarstwa? - Pociągnęłam nosem i otarłam łzy. Przypomniałam sobie nagłówki, które ukazywały się w prasie.

- Jest już kilka leków, które opóźniają rozwiniecie się choroby - powiedział. - Ale niektóre mają silne działanie uboczne, więc nie zawsze jest sens, aby je zażywać. Przynajmniej nie od samego początku.

- To co mam robić? - spytałam bezradnie. - Co mam właściwie robić?

Wszystko było takie beznadziejne, bezsensowne. Czułam się obezwładniona i tak zrozpaczona, że nie potrafiłam jasno myśleć. AIDS. Śmierć. Niebezpieczeństwo zakażenia. Wyobcowanie, życie poza nawiasem. Te słowa tłukły mi się po głowie.

- W każdym razie powinnaś z kimś o tym porozmawiać - poradził doktor Schmidt. - Nie dźwigaj tego ciężaru sama! Jestem do twojej dyspozycji w każdej chwili, pamiętaj o tym. Istnieją też profesjonalne poradnie dla chorych na AIDS, do których możesz się zwrócić o pomoc. - Z tymi słowami zapisał mi na karteczce adresy i numery telefonów. - Telefony są na

okrągło zajęte.

Włożyłam karteczkę machinalnie do kieszeni kurtki. Reagowałam jak marionetka. Zrób to. Zaniechaj tamtego. Tak. Nie.

Mówił jeszcze sporo. Decyzja, czy poinformuję o tym mojego partnera seksualnego, należy wyłącznie do mnie. Nikt nie może mnie do tego zmusić.

- Nie mam partnera - szepnęłam niewyraźnie, wpatrując się w czubki swoich butów. - W każdym razie, w tej chwili, Zrobiłam to tylko z jednym jedynym chłopakiem, który mnie zaraził.

Opowiedziałam mu o Florianie i liście od niego.

- Nie chciałem cię o to pytać - odezwał się doktor Schmidt.

- Teraz stało się dla mnie jasne, dlaczego tak się ostatnio bałaś. Czy mogłaś kogoś zarazić?

Gwałtownie potrząsnęłam głową. - Nie spałam z nikim innym. Naprawdę.

Doktor Schmidt wyczulił mnie na to, bym w przyszłości w każdym przypadku zachowywała się odpowiedzialnie. To oznaczało bezpieczny seks.

Jednak jakoś nie potrafiłam sobie wyobrazić, żeby jakikolwiek chłopak chciał się do mnie zbliżyć, gdyby wiedział, że jestem zarażona. A świadomie nic mu nie powiedzieć? To w ogóle nie wchodziło w grę. Zresztą - na samą myśl o seksie paraliżowało mnie. Czyż moje ciało nie jest teraz moim wrogiem? Czy nie tyka we mnie bomba zegarowa?

W którejś chwili opuściłam przychodnię. Doktor Schmidt jeszcze raz podkreślił, że jest do mojej dyspozycji zawsze i o każdej porze.

Słońce świeciło mi prosto w twarz. Jawna drwina. Ludzie z siatkami pełnymi zakupów mijali mnie w pośpiechu. Dla innych życie toczy się dalej. A ja nie mogę zrozumieć, że dla mnie nie ma już przyszłości. Moi przyjaciele mogą planować, kim zostaną, jaki zawód będą wykonywać, a mnie czekają tylko choroba i śmierć.

Błąkałam się bez celu po okolicy. Jednak nie w kierunku domu. Nie miałam ochoty teraz z nikim rozmawiać.

„Nadine Gebert, jesteś nosicielką HIV Jesteś zarażona śmiertelnym wirusem?”.

Ile jeszcze zostało mi czasu?

Doktor Schmidt powiedział, że to może długo potrwać. Jak długo? Lata? Miesiące? Czy teraz muszę wszystko robić szybciej, by możliwie jak najwięcej osiągnąć w życiu? Czy powinnam może raczej opuścić bezradnie ręce i czekać, aż nadejdą cierpienie i śmierć?

Szkoła - czy mam to wszystko rzucić?

Siatkówka - czy to stracony czas?

Same pytania, na które nikt nie potrafiłby mi odpowiedzieć.

„Dlaczego ja? Dlaczego właśnie ja?”

Byłam najbardziej samotnym człowiekiem na świecie. Zagubionym wśród zdrowych. Nie miałam przed sobą żadnego celu. Byłam całkiem bezużyteczna w społeczeństwie, w którym liczą się zdrowie i sukcesy.

Marka mogłam sobie wybić z głowy. Jak zresztą wszystkich chłopaków. Prawdopodobnie nigdy nie będę mieć dzieci. I pewnie nawet umrę wcześniej od moich rodziców.

Oparłam głowę o słup latarni. Zimny metal sprawiał mi ulgę. Zatęskniłam za ramieniem, na którym mogłabym się wesprzeć. Chciałam płakać i czuć przy tym pocieszający uścisk.

Doktor Schmidt miał rację. Nie dam rady sama. To przerasta moje siły. Muszę porozmawiać z rodzicami. Mają prawo wiedzieć. W końcu mieszkamy razem, a ja jestem ich jedynym dzieckiem. Wolno poszłam do domu.

Mama przeczytała notatkę, którą zostawiłam jej na stole kuchennym: „Jestem u lekarza”.

- Mój Boże, Nadine - powiedziała, gdy otworzyła mi drzwi. - Czy coś się stało?

Widocznie poznała po mojej minie, że zdarzyło się coś złego.

Mama zobaczyła, że drżą mi ramiona. Objęła mnie i zaprowadziła do dużego pokoju.

- Jesteś chora? Co się dzieje? Przecież możesz mi o wszystkim powiedzieć.

Nadal nie mogłam wydusić z siebie słowa. Ta okropna wiadomość po prostu nie chciała przejść mi przez usta.

- Jesteś w ciąży? - spytała łagodnie.

Zaprzeciłam energicznie. Nagle wyrzuciłam z siebie wszystko. - Jestem nosicielką HIV, mamo! Florian ma AIDS, aj a się zaraziłam!

Patrzyła na mnie, jakby nie rozumiejąc, co przed chwilą usłyszała. Potem spytała ledwo słyszalnym szeptem:

- Jesteś pewna?

- Wynik testu wyszedł pozytywny. Dlatego doktor Schmidt zadzwonił do mnie i umówił się ze mną w przychodni.

Nie mogłam dalej mówić. Było mi ciężko patrzeć na to, jakie wrażenie zrobiła na mamie ta wiadomość. Drżały jej usta. Przeżyła szok jak ja. Nagle padłyśmy sobie w ramiona i objęłyśmy się mocno, bardzo mocno.

- Co teraz? - szlochałam. - Mamuś, co ja teraz zrobię?

- Jakoś przez to przejdziemy - szepnęła. - Jakoś sobie poradzimy. Och, Nadine, moja Nadine!

Nie byłam już małym dzieckiem i nie wierzyłam we wszechmoc dorosłych. Stanowiło więc dla mnie tajemnicę, jak chciała „dać sobie radę”. Mimo to jej słowa pocieszyły mnie. Stanowiły dla mnie ostoję, nawet jeśli wiedziałam, że tak naprawdę nikt nie może tutaj nic poradzić. Po prostu podtrzymywała mnie na duchu sama świadomość, że mama wesprze mnie we wszystkim, co nadejdzie, że nie jestem sama.

Po chwili oswobodziła uścisk i odgarnęła włosy z twarzy. W jej oczach błyszczały łzy.

- Od kiedy wiesz, że Florian ma AIDS?

- Od ubiegłego tygodnia. - Opowiedziałam jej o liście i o tym, że Florian prosił mnie, bym zrobiła sobie test.

- Nie wierzyłam w to - mówiłam, połykając łzy. - Wmówiłam sobie, że AIDS dotyka

tylko innych. - Rozpłakałam się mocno, gdy przypominałam sobie te wszystkie wzloty i upadki, nadzieje i obawy, które przeżywałam.

- Teraz przynajmniej wiem, co się z tobą działo w ostatnim czasie - powiedziała cicho mama. - Dlaczego nie powiedziałaś nic wcześniej?

Wzruszyłam ramionami. - Nie chciałam was martwić. Zresztą, cały czas myślałam, że to nie może być prawda.

- Prawda - powtórzyła machinalnie. - To jest prawda. O Boże! - Znow mnie objęła.

Czy będzie przy mnie, gdy przyjdzie mi umierać? Czy też zostanę sama, podłączona do niezliczonej ilości aparatów w sterylnym pokoju szpitalnym? Poczulałam skurcz. Umieranie. Śmierć. Tak bardzo się tego bałam! Ciemna, nieznana nicość, która mnie wessie...

Cholera, chcę żyć! Dlaczego nie mogę zwyczajnie robić tego wszystkiego, co inni? Nie chcę być chora!

Myśl, że w moim organizmie, we krwi, zagnieździł się i rozwijał śmiertelny wirus, była nie do zniesienia! Będzie się rozszerzał i postępował w swojej niszczyielskiej działalności, aż pewnego dnia organizm odmówi mi posłuszeństwa.

Bałam się. Zrobiło mi się naprawdę niedobrze. Czułam, że zaraz „zejdę”.

- Mamuś, dlaczego ja? Dlaczego właśnie ja? - Przywarłam do niej całym ciałem, szlochając.

Mama delikatnie głaskała mnie po plecach.

- Przejdziemy przez to, Nadine - powtarzała. - Na pewno. Nie wiem, jak długo tak siedzieliśmy objęte. W którymś momencie do pokoju wszedł tato. Nie przeczuwał katastrofy i był, jak zwykle, w dobrym nastroju.

- Hildegard, jestem zrozpaczony, znalazłem tylko jedną skarpetkę z tej nowej, brązowej pary!

Kiedy nas zobaczył, zdumiał się. - Co się dzieje?

Mama spojrzała na mnie pytająco. Kiwnęłam głową. Tato też powinien wiedzieć.

Przełknęła z trudem ślinę. - Nadine właśnie się dowiedziała, że jest nosicielką HIV.

Nie dotarło do niego od razu. - Nosicielką czego?

- Zaraziłam się wirusem powodującym AIDS - powiedziałam prawie bezgłośnie.

- Ale to nie może być...

- A jednak - odparłam. - Florian napisał mi o tym. W tym czasie już rozwinęła się u niego choroba. Zaraził się podczas transfuzji krwi.

Twarz taty przypominała zastygłą maskę. Bez słowa opadł zdruzgotany na fotel.

Potrzebowałam swojej rodziny, jej miłości, wsparcia. Nie zostawią mnie samej w tej

trudnej sytuacji, tego mogłam być Pewna.

Jednak widzieć ból w ich oczach, świadomość, że cierpią przeze mnie, to było okropne przeżycie.

W tamtej chwili wiele bym dała za to, by po prostu zapaść się pod ziemię. Nie istnieć, nie sprowadzać więcej na nikogo udreki...

HIV przytrafił się wprawdzie mnie, ale moja rodzina tak samo była tym dotknięta. Tamten dzień zmienił nie tylko moje życie, ale też życie moich rodziców.

Po dłuższej chwili tato odezwał się, mamrocząc: - I co można zrobić?

Zrozumiałam, że nie ma nic gorszego niż konieczność powiedzenia swoim rodzicom, że prawdopodobnie umrze się przed nimi.

Milcząc, potrząsnęłam jedynie głową. Nie ma na to lekarstwa. Nie istnieje żadna stuprocentowo skuteczna terapia.

- Może wkrótce coś wynajdą. Przecież codziennie są nowe odkrycia. To tylko kwestia czasu, kiedy także i tę chorobę ujarzmią albo odkryją szczepionkę. A Nadine jest jeszcze młoda - ostatnie zdanie wymknęło się mamie. Przygryzła wargi. „Jeszcze młoda”. Tak, o wiele za młoda, aby umrzeć. Nieprzeżyte życie, które stracę.

Znów się rozplakałam. „To takie niesprawiedliwe. Dlaczego właśnie ja? Dlaczego, dlaczego, dlaczego?”

Zupełnie się rozkleiłam. Opuściła mnie cała odwaga. Po co zwalczać wirusa? Przecież to i tak nie ma najmniejszego sensu. Wcześniej czy później i tak się przegra. Co powinnam zrobić z resztą życia? Kto wie, jak szybko choroba się uaktywni? Uszła ze mnie cała energia. Siedziałam apatycznie w fotelu i prawie nie docierało do mnie to, co się wokół działo. Mama wykonała kilka telefonów. Później dowiedziałam się, że rozmawiała również z doktorem Schmidtem. Tato niewiele mówił, ale wystarczyło na niego spojrzeć, by wiedzieć, jak bardzo poruszyła go ta wiadomość.

Na weekend złożyły się następujące po sobie ponure godziny. Większość czasu spędziłam w łóżku. Wszystkie moje myśli zdawały się ograniczyć tylko do dwóch słów: „Dlaczego ja? Dlaczego ja? Dlaczego ja?”

Mózg powtarzał te słowa z jednostajnością maszyny, której po prostu nie da się wyłączyć.

Chwile snu i jawy przeplatały się ze sobą. Znajdowałam się w stanie całkowitego zamroczenia umysłu. Wszystko, co działo się wokół, w ogóle mnie nie obchodziło. To było straszne. Wiedziałam, że jestem zupełnie bez życia, bez energii, ale nie potrafiłam wyrwać się z marazmu.

Dopiero w niedzielę wieczorem jakoś mniej więcej doszłam do siebie. Powróciła zdolność rozumowania. Funkcjonowała nad wyraz sprawnie. Zrozumiałam doskonale słowa mamy, kiedy oznajmiła mi, że muszę wrócić do szkoły, nie mówiąc nic nikomu o tym, co się stało, a potem udamy się po poradę do specjalistycznej poradni. Wszystko, co powiedziała, miało sens. Z pewnością to najlepsze wyjście.

Tylko gdzieś się podziały nagle moje emocje. Coś we mnie umarło. Wielka rozpacz wprawdzie zniknęła, ale wraz z nią również nadzieja, nic mnie już nie cieszyło. Czułam pustkę. Totalny brak uczuć. Ten stan zubożenia był jeszcze gorszy.

W nocy z niedzieli na poniedziałek mało brakowało, a zrobiłabym coś strasznego.

Nie mogłam zasnąć i zastanawiałam się nad tym, jak zachować się w szkole. Czy normalnie, jakby nic się nie stało? śmiać się z kawałów, znosić humory nauczycieli, wkuwać do Masówek - i to wszystko ze świadomością, że noszę w swoim organizmie bombę zegarową i że śmiertelne wirusy niewidzialnie rozprzestrzeniają się w moim ciele?

Nie potrafiłabym tak. Nie dałabym rady. Nie miałam najmniejszej ochoty udawać. Robiło mi się niedobrze na samą myśl o tym. Potem przypomniałam sobie Marka i aż ścisnęło mnie coś w żołądku. Było, minęło. Miłość mogłam już całkowicie przekreślić. Kto zakocha się w osobie zakażonej wirusem HIV?

Poszłam do toalety, usiadłam na zamkniętej desce klozetowej i wpatrywałam się tępym wzrokiem w białe kafelki na ścianie. Moje życie nie ma sensu. Nie mogę znieść świadomości, że znalazłam się w niebezpieczeństwie!

Wzrokiem powędrowałam do małej półki z lekarstwami, wiszącej w rogu. Przypomniałam sobie, że mama trzyma w niej opakowanie tabletek nasennych. Doznałam olśnienia. To jest to. Zasnąć i więcej się nie zbudzić. Żadnej choroby, żadnych cierpień, żadnych problemów. Proste jak drut.

Wstałam, drżącymi rękoma otwarłam szafkę i zaczęłam przeglądać jej zawartość. Tabletki od bólu głowy, syrop przeciwkaszlowy, znalazłam też swoje otwarte opakowanie tabletek antykoncepcyjnych. Przestałam je zażywać po rozstaniu z Florianem. Teraz na pewno już ich nie będę potrzebować.

Szukałam dalej, aż znalazłam fiolkę z tabletkami nasennymi. Była dość lekka. Otwarłam ją i wysypałam zawartość na rękę. Pięć sztuk. Ile potrzeba zażyć, by się nie obudzić? Na pewno więcej.

Z fiolką w ręku usiadłam z powrotem na kłapie sedesu i zaczęłam rozważać inne możliwości. Podciąć żyły? Odrzucała mnie myśl o morzu krwi. Skoczyć z mostu? Powiesić się? Wzdrygnęłam się.

W poczuciu bezsilności znów się rozplakałam.

Myślałam o umieraniu, ale jak wygląda śmierć?

Absolutna nicość? Czarna dziura? Urwany film i koniec pokazu?

A może istnieje życie po śmierci?

Czy przyjmie mnie światłość, tak jak czytałam w relacjach ludzi, którzy przeżyli śmierć kliniczną? Istota, która promieniuje miłością?

A co się działo z samobójcami? Twierdzono, że ludzie, którzy usiłowali targnąć się na swoje życie, nie doświadczali takiej jasności.

Filozofia nie jest moją mocną stroną. Nigdy nie łamałam sobie głowy nad sensem życia czy tym podobnymi dylematami. Teraz również nie chcę o tym rozmyślać. Ani o śmierci, ani o umieraniu.

Czułam, że zbyt wiele jest na moich barkach. „Ja chcę przecież tylko żyć!”

Znów napłynęły mi łzy do oczu. To taka niesprawiedliwość. Nie chciałam poddać się tej przemianie. Pragnęłam się skryć. Życie powinno się skończyć, po prostu nie toczyć się dalej. Ale jak?

Nie chciałam nic wiedzieć o AIDS i związanych z tym problemach. Jednak to było niemożliwe.

Ten wyrok rozdarł mnie wewnątrz.

„Gdzie jest moje miejsce? Co powinnam zrobić? Czyż nie poruszam się w świecie niczym, w szarej strefie między życiem a śmiercią? Nie należę już do tego świata”.

Byłam bezużyteczna.

Niepotrzebna.

A poza tym groźna dla otoczenia, zakażałam.

Przyszłość oznaczała dla mnie jedynie chorobę i śmierć.

Już lepiej położyć temu wszystkiemu kres.

Nadal trzymałam w ręku fiolkę, pozwalając tabletkom to ślizgać się ku otworkowi, to z powrotem do środka opakowania. Zerkałam na kubek do płukania zębów. Wystarczyło tylko połknąć i popić wodą.

Zrób to, Nadine! No już! Co masz do stracenia? Nic!

Jednak pięć tabletek to za mało. Musiałam mieć pewność, że się nie obudzę. Nie chciałam wylądować w szpitalu.

Życ, żyć, żyć!

Marek, Florian.

Florian, och, Florian! To on mnie zaraził. Bywały chwile, że go nienawidziłam z całego serca. Ale jednocześnie było mi go żal. U niego choroba już się rozwinęła. Miał AIDS. On już nawet został odarty z nadziei, że choroba go nie dopadnie.

Byłam wściekła na ludzi, którzy przynieśli do szpitala zakażoną krew. Na ludzi, którzy podali ją pacjentom.

„Czy jest więcej dziewcząt w takiej sytuacji jak moja? Na pewno. Może mogłabym je poznać za pośrednictwem poradni chorych na AIDS”.

Zamknęłam oczy i wyobraziłam sobie, jakby to było, gdybyśmy wszystkie się zjednoczyły. Wspólna złość. Wspólna nienawiść do ludzi odpowiedzialnych za to, co się stało. Wspólna walka z przesądami.

Zacisnęłam odruchowo pięści, kiedy oczami wyobraźni widziałam powiewające transparenty i niemal słyszałam skandowane hasła. Czułam napływ siły. Wściekłość również mogła udostępniać pokłady energii.

Potem znów otworzyłam oczy, zobaczyłam białe kafelki przed sobą i wróciłam do rzeczywistości. Marzenia. Próżne nadzieje. Na co zdałoby się wykrzyczenie złości w świat? Śmierci nie da się przegonić. Wirus przez to nie zniknie.

Nie mogłam snuć jakichkolwiek planów. Nie istniało żadne rozwiązanie, wyjście. Byłam nosicielką wirusa HIV i nawet gdybym wykrzyczała całą swoją złość, i tak nic by to nie zmieniło.

Nieuleczalna.

Stracona.

Bez szans.

Znowu spojrzałam uważnie na fiolkę z tabletkami nasennymi. Nie mogłam tego zrobić. Bałam się, że nie wystarczy mi tabletek. Obawiałam się też samej śmierci i tego, co po niej nastąpi.

Odłożyłam tabletki na miejsce i wróciłam do swojego pokoju.

Przewracałam się w łóżku niespokojnie z boku na bok. Tysiące obaw zaprzętało mi głowę. Czy uda mi się zachowywać całkiem normalnie w szkole? Komu mogę powiedzieć o zakażeniu? Co zmieni się w moim życiu? Jak ludzie zareagują?

Ile pozostało mi jeszcze czasu? Czy moje życie odtąd będzie przebiegać w przyśpieszonym tempie, jak w starym filmie? Tak, by wszystkim szybciej się cieszyć, wszystko jeszcze zdążyć przeżyć - nawet w ciągu godziny, o ile to możliwe?

Kilka razy wracałam myślą do fiołki, która stała w szafce z medykamentami. Samobójstwo. Czy to jest wyjście? Nie wiedziałam. Tak bardzo kochałam życie. Nie chciałam umierać. Ale nie chciałam też zachorować na AIDS. Przecież w ogóle nie chciałam nigdy zakazić się HIV!

Mama stała przy moim łóżku.

- Dlaczego jeszcze tu jesteś? - mruknęłam rozespana. Było już późne przedpołudnie.

- Wzięłam kilka dni wolnego - odparła. - Czujesz się trochę lepiej?

Zdenerwowała mnie tym pytaniem. Zakażenie HIV nie przechodziło jak katar, mama wiedziała o tym równie dobrze jak ja!

- Czuję się podle - warknęłam.

I zaraz zrobiło mi się przykro, że jestem dla niej taka niemila. Martwiła się tylko o mnie! Zauważyłam, że ten weekend zostawił ślady na jej twarzy. Wyglądała o wiele starzej.

Przyszło mi od razu na myśl, że prawdopodobnie nie dożyję jej wieku. Przepelniła mnie gorycz. Zacisnęłam usta.

- Co ty na to, żebyśmy dziś po południu poszły do poradni? - zapytała ostrożnie mama.

Nic nie odparłam, tylko odwróciłam się do ściany. Nie miałam na nic ochoty. Pragnęłam świętego spokoju. Nie chciałam, by wciąż mi przypominano, że teraz jestem inna niż kiedyś.

Mama usiadła na skraju łóżka. Nic nie powiedziała. Słyszałam jej oddech. Ciekawe, co właściwie myślała. Działała mi na nerwy.

- Wyjdź - fuknęłam. - Zostaw mnie samą! Nie posłuchała.

- Nadine - odezwała się po chwili. - Dobrze cię rozumiem. Naprawdę. Uwierz, mnie też nie jest lekko. Ale nie ma sensu zamykać się w sobie.

Wciąż wpatrywałam się tępo w ścianę. Na końcu języka miałam już gorzkie słowa: „Nie potrzebuję żadnej pomocy.

Zresztą, i tak nikt nie może mi pomóc. Na AIDS nie ma lekarstwa. Nikt nie potrafi zneutralizować wirusa”.

Pogłaskała mnie po plecach. Właściwie najchętniej skoczyłabym jej do gardła, jednak - kiedy mnie dotknęła - gdzieś ulotniła się cała moja złość. Oczy zaszyły mi łzami. Nigdy jeszcze tyle nie płakałam, ile od czasu tamtej soboty.

Odwróciłam się do mamy, padłyśmy sobie w ramiona i obydwie szlochałyśmy.

- Mamuś, ja nie chcę umierać.

- Nie umrzesz, Nadine.

- Tak bardzo boję się śmierci, tak bardzo. Boję się tego, co mi się stanie. Nie chcę cierpieć.

- Zrobimy wszystko, żebyś czuła się dobrze, Nadine.

- Ach, mamuś - przywarłam do niej. - Ja tylko chcę żyć tak jak inni.

To akurat było niemożliwe. Zaciśnęłam mocno usta. Moja przyszłość to jedna wielka czarna dziura.

- Dowiemy się, co można zrobić - powiedziała mama i wytarła nos.

W tym momencie zadzwonił telefon. Uwolniła się z moich objęć i wyszła z pokoju.. Patrzyłam za nią, myśląc, co by się stało, gdybym jednak zażyła poprzedniej nocy tabletki nasenne. Co byłoby dla niej większym ciosem? Nagła śmierć czy powolne konanie jej córki?

W głowie kłębiły mi się ponure myśli. Nie potrafiłam zachować pogody ducha. Sprawy, które wcześniej wydawały mi się ważne, teraz straciły dla mnie znaczenie. Stałam po ciemnej stronie życia.

Zawinęłam się z powrotem w kołdrę. Najchętniej zaciągnęłabym ją sobie na głowę, by odgrodzić się od reszty świata.

Przelotnie pomyślałam o szkole, o przyjaciółkach i koleżankach z klasy. W ubiegłym tygodniu powiedziałam Lizie, że dzisiaj wrócę do szkoły. Czy zastanawia się, dlaczego jednak nie przyszłam? Co powiedzieć, gdyby ktoś do mnie zadzwonił?

„Cześć, Lizo, fajnie, że o mnie pytasz. Niestety, grypa nie ustąpiła, czuję się jeszcze gorzej. Lekarstwo niezbyt mi pomogło”.

„Czy to zabrzmia przekonująco?”

Mogłam też powiedzieć po prostu: „ - Wyobraź sobie, Lizo, że w sobotę dowiedziałam się, że jestem nosicielką HIV Czy możesz przynieść mi dzisiaj zeszyty?” Prawdopodobnie po takim wstępie okazałoby się, że wypadła jej właśnie ważna wizyta u dentysty. Następnego dnia też nie miałaby czasu.

Może byłam niesprawiedliwa dla Lizy. Może zareagowałaby zupełnie inaczej.

Ale na pewno znaleźliby się też tacy, którzy odsunęliby się ode mnie.

Czy kierownictwo szkoły też trzeba powiadomić? Czy zrobią odpowiedni wpis do moich akt?

„Nadine Gebert, nosicielka wirusa HIV...”

Tak mocno przygryzłam wargi, że aż zaczęły krwawić. Wierzchem dłoni obtarłam krew i spojrzałam na czerwoną plamę.

To tam w środku czaiły się śmiertelne wirusy. Kłębiły się w kropelce krwi, która tak nieszkodliwie wyglądała.

Nosiłam to piętno w sobie, a mimo to byłam przecież nadal Nadine! Tą samą co przedtem! Jakoś trudno to sobie wyobrazić.

Wstałam i poszłam do łazienki, żeby obmyć się z krwi. Potem szczególnie starannie umyłam rękę. Zdezynfekowałam nawet. Uważnie przyjrzałam się swojemu odbiciu w lustrze. Usta przestały krwawić, ale i tak wyglądałam źle. Oczy miałam opuchnięte i zaczerwienione od płaczu. Pod spodem zarysowały się cienie, a kości policzkowe sprawiały wrażenie bardziej wystających niż kiedykolwiek przedtem. Z pewnością schudłam przez te dwa dni. Prawie nie jadłam. Wyglądałam na naprawdę chorą i to mnie jeszcze bardziej rozwścieczyło.

Doktor Schmidt uważał, że zarażona mogę żyć jako nosiciel dziesięć lat lub może nawet dłużej.

Nie chciałam już teraz wyglądać źle. Byłam wściekła, że moje ciało zrobiło mi taki kawał. Zdecydowałam się od razu temu zaradzić.

Wzięłam długi prysznic, a włosy umyłam ulubionym szamponem. Makijaż zajął mi dwa razy więcej czasu niż zwykle lecz zdołałam zamaskować wszelkie ślady słabości. Kiedy weszłam do kuchni, mama spojrzała na mnie zaskoczona.

- O, wstałaś. Wyglądasz ślicznie - powiedziała jednym tchem. - A co to za spodnie? Nie widziałam ich wcześniej.

Założyłam po raz pierwszy moje wyszywane dzinsy. Spodnie tak mi się spodobały w sklepie, że je kupiłam, choć właściwie były na mnie za ciasne. Został tylko ten jedyny rozmiar.

- Wiesz, że masz superfigurę?

Komplement zabrzmiał szczerze. Powiedziała to nie tylko dlatego, by sprawić mi przyjemność. Potem wpadła na pomysł. - Dziś nie gotuję. Pójdziemy zjeść coś naprawdę pysznego. Tylko my dwie. Co ty na to?

Wprawdzie nie miałam apetytu, ale i tak skinęłam potakująco głową. Mama przebrała się w garsonkę, którą zakładała tylko na ważne spotkania z klientami.

Kiedy wyszłyśmy na zewnątrz, obie wyglądałyśmy tak, jakbyśmy miały powód do świętowania. Nikt by nie pomyślał, że przeżywamy właśnie największy dramat w życiu.

Kelner zaprowadził nas do wolnego stolika.

- Podoba ci się? - spytała mama. Nie znałam tej restauracji.

- Przynajmniej coś innego niż pizzeria - szepnęłam.

- Ostatnim razem byłam tu z twoim tatą z okazji piętnastej rocznicy ślubu - wyjaśniła.

- Uplynęło trochę czasu od tamtej chwili, ale niewiele się tutaj zmieniło.

Zamówiliśmy sobie obiad z czterech dań. To było czyste marnotrawstwo, bo żadna z nas nie czuła się aż tak głodna. Jednak zauważyłam, że panująca w restauracji atmosfera podziałała na mnie relaksująco. Przynajmniej na moment zapomniałam o swoim zmartwieniu.

Przy deserze - dużym pucharku lodów z owocami i polewą malinową - mama przyznała się, że zadzwoniła do poradni AIDS i umówiła nas na spotkanie na szesnastą. Trochę mnie zirytowała tym, że zdecydowała za mnie. To, że byłam zarażona lny nie dawało jej prawa, by prowadzić mnie za rączkę!

- Nie gniewaj się, Nadine. - Położyła mi dłoń na ramieniu. - Dzisiaj przed południem w ogóle nie dało się z tobą rozmawiać. A tato i ja chcieliśmy ci pomóc. Jednak najpierw musimy się dowiedzieć, co możemy zrobić.

Tato też zamierzał pojawić się w poradni.

- No świetnie. Idealny spisek!

- Nie bądź niesprawiedliwa. Tato martwi się o ciebie tak samo jak ja.

Wpatrywałam się w swój pucharek. Lody zdążyły się już rozpuścić. Z kulek porobiły się małe Jeziorka”: mętne, żółte i kakaowobrazowe „bajorka”. Pomiędzy nimi spływała polewa malinowa niczym okropna czerwona plama krwi.

- Czy ty w ogóle mnie słuchasz? - spytała mama.

- Nie.

Ostatnich zdań rzeczywiście nie słyszałam. Moje życie wyglądało niegdyś jak te gałki lodów: okrągłe i uformowane. Teraz jednak zwyczajnie rozpadło się jak rozpuszczone lody. Jasno zarysowany kontur rozplynał się w niepokąźny sos.

- Nadine, nie utrudniaj nam, bo i bez tego już jest ciężko - poprosiła mama.

- A więc o to chodzi? - parsknęłam w odpowiedzi. Gdybyśmy nie siedziały w takiej nobliwej restauracji, pewnie bym na nią wrzasnęła. Zamiast tego, odparłam ironicznie: - Sorry. Naprawdę przykro mi, że sprawiam wam takie problemy.

Mama spojrzała tylko na mnie i powiedziała cicho: - Nadine.

Więcej nic. Dostrzegłam wyraz jej oczu i zamilkłam. Powstrzymałam się, żeby nie rozplakać się publicznie, przed wszystkimi gośćmi.

Mama przywołała kelnera i zapłaciła rachunek. Chwilę później byliśmy już na zewnątrz. Chociaż samochód zaparkowany był tuż przy restauracji, zdecydowałyśmy się przejść kawałek pieszo. Pogoda była nie najgorsza. Po tym, jak ostatnie dwa dni spędziłam praktycznie w łóżku, miałam wrażenie, że zupełnie odwykłam od chodzenia. To miłe uczucie móc stąpać po bruku. To jak oznaka życia. Mogłam się poruszać. Mogłam iść, dokąd chciałam - o własnych siłach. Wcześniej nigdy o tym nie myślałam, to było samo przez się zrozumiałe. Teraz wiedziałam, że ta wolność jest zapewne kwestią czasu.

Naszła mnie przemożna chęć biegania. Najchętniej natychmiast ruszyłabym do biegu przez ulice, by udowodnić sobie, że całkowicie panuję nad swoim ciałem.

Wystawy sklepowe były mi zupełnie obojętne, mimo że widniały na nich fantastyczne rzeczy, za które jeszcze nie tak dawno sprzedalabym duszę diabłu. Teraz wszystko nabrało dla mnie innego znaczenia.

- Dlaczego tak się spieszysz? - spytała zdyszana mama. Ledwo nadażała za mną.

Zwolniłam kroku. Ale taki powolny spacer sprawił, że od razu popadłam w przygnębienie. To niedorzeczne. W końcu nie mogę uciec przed chorobą.

Mama zatrzymała się przed biurem podróży. Kolorowe plakaty nęciły odległymi miejscami. - Gdzie powinniśmy się wybrać latem, jak myślisz?

Zdziwiłam się. Przecież dopiero co rodzice rozmawiali o tym, że w tym roku w ogóle nigdzie nie pojedziemy, bo chcieli urzeczywistnić marzenie o własnym domu.

- Myślałam, że macie zamiar kupić dom - powiedziałam.

- Zmieniliśmy plany - odparła mama, nie patrząc na mnie. - To jednak za duże obciążenie finansowe, i to nie na kilka lat, ale na całe wieki.

Grzebała w prospektach. „Czy to możliwe, że zmienili plany z mojego powodu? No jasne, jeśli rozchoruję się na dobre, będę potrzebować opieki. Mama wtedy będzie musiała zapewne zrezygnować z pracy i odpadnie jej pensja”.

- Ale w niedzielę mieliście się spotkać z doradcą? - dociekałam.

- Nie miał czasu - ucięła mama i wyciągnęła ze stojaka następny prospekt.

- To z mojego powodu, tak?

- Nie zaprzątaj sobie tym głowy - odpowiedziała wymijająco. - Dom naprawdę nie jest taki ważny.

- No tak, przecież jeśli umrę, nie będziecie potrzebowali dla siebie tyle miejsca - odparłam arogancko.

- Nadine! - Mama upuściła prospekty. - Nie ma mowy o tym, że umrzesz!

- To w takim razie o czym jest?! - krzyknęłam. - AIDS jest chorobą śmiertelną, gdybyś jeszcze tego nie wiedziała!

Kilku przechodniów obejrzało się za nami. Mama poczerwieniała na twarzy, zebrała z chodnika prospekty i odłożyła na miejsce.

Ja tymczasem niewzruszona wpatrywałam się w plakat, który przedstawiał opaloną młodą kobietę wychodzącą z morza i ucieleśniał wszystko to, z czego musiałam w przyszłości zrezygnować: zdrowie, siłę i radość życia.

Bez słowa ruszyliśmy dalej. Mama spotkała znajomą i zamieniła z nią kilka nic nieznaczących zdań.

- Jak leci?

- Dzięki. Całkiem dobrze. A tobie?

- Nie mogę narzekać.

Frazesy. Nic, tylko puste frazesy. Cały świat - jedynie kłamstwa i obłuda. Patrząc na wszystko w takim świetle, właściwie nie opłacało się dalej żyć.

Podczas gdy obydwie rozmawiały, do mnie uśmiechnął się chłopak stojący po drugiej stronie ulicy. Jeszcze dwa tygodnie temu pewnie bym odwzajemniła uśmiech.

Teraz jednak pozostałam niewzruszona. „Nie ma sensu - powiedziałam do niego w myślach. - Jestem nosicielką wirusa HIV”.

Poszedł dalej. Patrzyłam za nim. Może poczuł mój wzrok na sobie, w każdym razie odwrócił się jeszcze raz. Przyłapał mnie. Uśmiechnął się, i tym razem odwzajemniłam uśmiech.

Mama pożegnała się w końcu ze swoją znajomą i wróciłyśmy do samochodu. Powoli zbliżała się pora rozmowy z ludźmi z poradni. Musiałyśmy jeszcze podjechać po ojca pod firmę.

Tato czekał już na nas na parkingu. Przesiadłam się do tyłu i nie odezwałam słowem.

- Nadine nie chce, żebyśmy z nią weszli - oznajmiła mama.

- Wolisz pójść sama? - zapytał mnie tato. Wzruszyłam ramionami. Teraz właściwie było mi już wszystko jedno. Znowu znalazłam się w tym samym punkcie co poprzedniego dnia - niezdolna do podjęcia jakiegokolwiek decyzji ani do oceny czegoś obiektywnie.

Mój niepokój wzrósł, kiedy zatrzymaliśmy się przed budynkiem poradni. Co mnie tam czeka? Co to za ludzie? Czy będą mi robić wyrzuty, że się nie zabezpieczyłam? Nie miałam zielonego pojęcia, czego się spodziewać. Uczucie niepewności dodatkowo wzmagало mój strach. Na dużym złotym szyldzie wiszącym u drzwi wejściowych widniały godziny otwarcia. Poradnia dla chorych na AIDS znajdowała się na parterze, trzeba było tylko przejść kawałek korytarzem. Drzwi stały otworem, wszędzie porozstawiane były rośliny doniczkowe, a przy biurku siedziała młoda dziewczyna i pisała coś na kopertach. Wyglądała na niewiele starszą ode mnie. Uśmiechnęła się do nas przyjaźnie, kiedy mama wyjaśniła jej, że jesteśmy umówieni na spotkanie.

- Manuel już na państwa czeka.

Wstała i otworzyła drzwi do sąsiedniego pokoju. Obrzuciła mnie przy tym przelotnie wzrokiem. Trudno mi powiedzieć, co kryło się za jej spojrzeniem. Współczucie? Zainteresowanie? Czy zwykła uprzejmość?

Manuel wyszedł do nas i po kolei podał każdemu rękę. Oceeniłam go na dwadzieścia kilka lat, bliżej trzydziestki. Mierzył około metra dziewięćdziesięciu. Miał rudawe włosy i

zielone oczy.

Zaprowadził nas do pokoju, zamknął za nami drzwi i poprosił, byśmy zajęli miejsca. Ścisnęło mnie w żołądku ze strachu, co zaraz nastąpi. Jednak mężczyzna najpierw zaproponował nam zwyczajnie kawę lub herbatę do picia.

Postawił przed nami filiżanki i talerz biszkopcików. Jednocześnie zapewnił, że ta rozmowa zostanie między nami. W tajemnicy zostaną też wszelkie osobiste informacje.

- Moja córka dowiedziała się w sobotę, że jest... jest nosicielką HIV - zaczęła mama, zacinając się. - Razem z mężem jesteśmy bezradni i właściwie nie wiemy, co powinniśmy zrobić.

Tato potwierdził cicho jej słowa i poprawił się na krześle. Zostawił inicjatywę mamie.

Manuel zapytał, czy może mówić mi po imieniu. Nie miałam nic przeciwko temu. Z pewnością częściej będziemy się teraz spotykać.

- Nadine, to, że jesteś nosicielką wirusa, wcale nie znaczy, że jutro umrzesz - powiedział.

- To samo usłyszałam od lekarza - odparłam.

- Nie wierzysz w to? - wyczuł moje zwątpienie.

Wzruszyłam ramionami. - Nie wiem. U niektórych przecież bardzo szybko rozwija się choroba. Tego nie można przewidzieć.

- Ale nie wiesz też tego, czy jutro nie zginiesz w jakimś wypadku - odpowiedział Manuel.

Miał rację.

- W życiu nie ma żadnych gwarancji - dodał.

- A czy nie można jakoś opóźnić objawów AIDS? - spytała mama.

- Nadine, postaraj się prowadzić jak najbardziej zdrowy tryb życia - odparł Manuel, zwracając się bezpośrednio do mnie. - Racjonalne odżywianie i równowaga psychiczna mogą rzeczywiście pomóc. Powinnaś unikać stresu - poradził.

- Nie palę - mruknęłam.

- Tak trzymać - powiedział pogodnie.

- Wszystko to brzmi dość niejasno - zaczął ojciec.

- Są też leki, które działają bezpośrednio na wirusa HIV na przykład AZT - wyjaśnił Manuel. - Jednak niektóre z tych lekarstw mają silne działania uboczne.

- A więc nie istnieje żaden cudowny środek? - zapytała mama ze smutnym uśmiechem na twarzy.

- Niestety, nie.

Tato mnie drażnił. Manuel widać wyczuł, że obecność rodziców działa na mnie hamująco, nie pozwala mi się w pełni otworzyć, i zaproponował, że wyjaśni kilka ogólnych spraw, a potem porozmawia ze mną tylko w cztery oczy.

Objął nam, że - jeśli chodzi o codzienne życie rodzinne - niepotrzebne są żadne szczególne środki ostrożności.

- Nie muszą państwo dezynfekować ani prania, ani naczyń. Spokojnie mogą państwo pić ze szklanki Nadine, kąpać się zaraz po niej, a nawet używać jej szczoteczki do zębów. Przez to nie zarażą się państwo. HIV to nie wirus grypy rozprzestrzenia się tylko w określony sposób.

Tutaj wyliczył cztery drogi przenoszenia wirusa HIV: można go złapać podczas stosunku płciowego, seropozytywna matka może zarazić swoje dziecko poprzez karmienie piersią, wirus może dostać się do organizmu też z zainfekowaną krwią podczas transfuzji i wskutek używania tych samych strzykawek.

- Unikanie chorych na AIDS czy nosicieli wirusa albo spychanie ich na margines ze strachu przed zarażeniem jest błędem - podkreślił Manuel. - Mogą państwo bez obawy obejmować córkę czy całować. Nie muszą się państwo bać, że coś się może przy tym stać.

Opowiedział o przypadkach, kiedy to rodzice odrzucali własnego syna bądź córkę, zakażonych HIV - To nieprawdopodobne, jak wiele ludzi odsuwa się od zarażonej osoby. I to akurat w momencie, kiedy ta potrzebuje właśnie jak najwięcej miłości i wsparcia. Wykluczenie poza nawias społeczeństwa, grupy, rodziny to najgorsze, co można uczynić takiej osobie. Jednak już sam fakt, że przyszłście tutaj w trójkę, świadczy o tym, że zdecydowali się państwo wspierać wzajemnie.

Tato zdawał się być nieco mniej spięty. Mama uśmiechnęła się do mnie. Wiedziałam, że rodzice nie zostawią mnie samej na pastwę losu. To było pocieszające. Jednak gdzieś na dnie serca czaiła się jeszcze beznadziejna rozpacz, ogromna czarna otchłań. Wystarczył malutki krok, bym stoczyła się w bezdenną przepaść.

Manuel zrobił nam wykład o komórkach pomocniczych w krwi, tzw. limfocytach T4. Każdy zdrowy człowiek ma ich określoną liczbę. U nosicieli HIV ich liczba stopniowo się zmniejsza. Ich występowanie bądź brak we krwi daje pojęcie o aktualnym stanie zdrowia nosiciela.

- Sama liczba jednak nie zawsze jest miarodajna - zaznaczył Manuel. - Każdy człowiek żyjący z HIV lub chory na AIDS reaguje inaczej. Choroba u różnych osób nigdy nie przebiega w identyczny sposób, a wyjątki od reguły zawsze są możliwe.

Spojrzał mi w oczy, a ja kiwnęłam machinalnie głową. Zrozumiałam, że tą uwagą

chciał mi dać nadzieję, bym się nie poddawała. Co z tego, gdy to było tak ciężkie. Nie wiedziałam, czego mam się trzymać. Nie miałam pojęcia, skąd brać odwagę i czerpać siły, by poradzić sobie w tej sytuacji.

Manuel dał rodzicom kilka broszurek informacyjnych i powiedział, że gdyby mieli jeszcze jakieś pytania lub gdyby wynikły problemy, mogą zawsze do niego zadzwonić.

Potem mama i tato zostawili mnie samą z Manuelem. Z jednej strony ulżyło mi, z drugiej - nie wiedziałam, jak zacząć rozmowę o tym, co przeżywam.

Widać było, że ten facet rozumie moją sytuację bardzo dobrze. Poczulałam, że mam do niego zaufanie.

- To dla ciebie na pewno ogromny szok, prawda? - spytał, podając mi jeszcze jedną filiżankę herbaty.

- Tak - szepnęłam ze ściśniętym gardłem. - Nie wiem, jak z tym żyć - wyjąkałam.

- Nie musisz od razu podejmować wszystkich decyzji - odparł. - Wielu popełnia ten błąd. Po otrzymaniu pozytywnego wyniku testu uważają, że z dnia na dzień muszą zmienić całe swoje życie. Takie przekonanie powoduje silny stres. Potrzebujesz czasu, by zaakceptować tę nową dla siebie sytuację.

Pokręciłam przecząco głową. - Sądzę, że nigdy jej nie zaakceptuję.

- Też tak myślałem na początku - odpowiedział. Spojrzałam na niego zdziwiona.

- Cztery lata temu dowiedziałem się, że jestem nosicielem - wyznał Manuel. - A od około dwóch miesięcy mam objawy ARC.

- ARC? - spytałam, czując suchość w ustach.

- *Aids Related Complex* - wyjaśnił. - To coś w rodzaju wstępnego etapu AIDS. Dotyka cię już kilka dolegliwości, ale to jeszcze nie jest pełny obraz choroby.

Nie wyglądał wcale na chorego. Wręcz przeciwnie. Sprawiał wrażenie pogodnego i beztróskiego, co mnie zaskoczyło. Manuel musiał wyczytać z mojej miny, o czym myślę.

- Kiedy dowiedziałem się prawdy, w pierwszej chwili moje życie wydało mi się zupełnie bezsensowne. Rzuciłem studia prawnicze, bo nie rozumiałem, po co mam zapychać sobie głowę bzdurami. Długo trwało, zanim do pewnego stopnia odzyskałem równowagę psychiczną.

- A jak do tego dojść? - zapytałam. Było to dla mnie po prostu niewyobrażalne, by znieść zarażenie HIV z takim spokojem i opanowaniem. Ja chciałam od tego wszystkiego po prostu uciec, nawet jeśli miałabym przy tym wpaść na ścianę.

- Musisz ponownie nauczyć się akceptować siebie. Opuściłam głowę.

- Nie jesteś sama, Nadine - ciągnął Manuel. - Musisz sobie uzmysłwić, że w

dokładnie takiej samej sytuacji znajduje się wiele osób i są tak samo z tego powodu zrozpaczone. Najgorszą rzeczą w związku z AIDS czy HIV jest to, że większość ludzi nimi dotkniętych uważa, że muszą się tego wstydzić. Bzdura. Chorować na AIDS to żadna hańba. Uważam, że nie ma nic głupszego od pytania, w jaki sposób doszło do zakażenia wirusem. Czy jesteś ofiarą, czy sama ponosisz za to odpowiedzialność? To i tak przecież nie zmienia nic w przebiegu choroby. I obojętnie, czy nosisz w sobie wirusa, czy nie, jesteś dalej tym samym człowiekiem co kiedyś.

Jego słowa dodały mi otuchy. Wypowiedział na głos to, co sama myślałam.

- Ale ludzie nie zawsze tak reagują - mruknęłam. - To znaczy, nikt nie wpadnie na pomysł, by robić wymówki komuś choremu na przykład na białaczkę. Ale w przypadku AIDS jest inaczej.

- Zgadza się. Istnieją jeszcze pewne przesady. A wiele ludzi wie zastraszająco niewiele o AIDS i HIV Dlatego tak ważna jest edukacja na ten temat.

Dopiłam herbatę.

- Komu właściwie powinnam powiedzieć, że zakaziłam się HIV?

- Najlepiej będzie, jeśli najpierw tylko osobom, którym naprawdę ufasz, o których wiesz, że cię wesprą. Jeśli chcesz, to możesz przychodzić na spotkania naszej grupy wsparcia.

Rozmawiamy o swoich problemach i doświadczeniach. Spotykamy się dwa razy w miesiącu.

Zanotował datę i miejsce, a następnie podał mi karteczkę przez stół.

- Dzięki - powiedziałam, wkładając papierek do kieszeni dzinsów. „Czy to już koniec rozmowy?” - niepewnie wstałam. - No to...

- Prawdopodobnie w tej chwili jest ci wszystko jedno - powiedział Manuel i też podniósł się z miejsca. - Mimo to powinnaś tak się zachowywać, by wirus nie rozprzestrzenił się dalej.

Potrzebowałam dwóch sekund, by pojąć, o co mu chodzi. Dotknął mojego czulego punktu. Krew uderzyła mi do twarzy.

- O seksie w ogóle już nie myślę - syknęłam.

- Jasne, że teraz całkowicie odrzucasz swoją cielesność. Znam kilka osób, które mają dokładnie ten sam problem. Zakaziły się wirusem przez seks i dlatego nie chcą o nim nawet słyszeć, bo za każdym razem przypominają im o chorobie.

To tylko jedna strona medalu.

- Kto polubi nosicielkę HIV? - spytałam. Znowu zbierało mi się na płacz.

- Najpierw musisz ponownie polubić samą siebie - odparł Manuel. - Tylko z powodu

wirusa nie powinnaś myśleć, że nigdy już nie zaznasz miłości.

Spojrzałam na niego powątpiewająco.

- Moja dziewczyna o wszystkim od początku wiedziała. Nie boi się, że się zarazi, bo zawsze używamy prezerwatywy. Wie, że kiedyś zachoruję na AIDS. Ale zdecydowała, że wtedy też będzie przy mnie.

- To musi być aniołem - wyrwało mi się.

- Nie, z pewnością nim nie jest. Jest po prostu niezwykłą i wspaniałą kobietą.

Czy to możliwe? Czy to rzeczywiście możliwe, by jakiś chłopak zakochał się we mnie, mimo że by wiedział, że jestem seropozytywna? Ach, bzdura. Poza tym było mi wszystko jedno. Kto wie, ile jeszcze pożyję? Walczyłam z napływającymi mi do oczu łzami.

- Zadzwon, jeśli będziesz potrzebować pomocy lub będziesz miała jakieś pytania - powiedział Manuel i odprowadził mnie do drzwi. - Albo jeśli tylko zechcesz z kimś pogadać.

Uścisnął mi serdecznie dłoń.

- Dziękuję.

Kiedy wyszłam z budynku, nadal czułam się odurzona. Przesadne byłoby stwierdzenie, że po tym spotkaniu odetchnęłam z ulgą. Moja sytuacja się nie zmieniła. Jednakże świadomość, że nie jestem sama, była pocieszająca, o ile coś w ogóle mogło mnie pocieszyć. Na zewnątrz, przed drzwiami, rozejrzałam się w poszukiwaniu rodziców, ale zanim ich zauważyłam, zobaczyłam Miriam z naszej drużyny siatkarskiej. Szła drugą stroną ulicy.

- Cześć, Nadine! - Miriam już mnie przywodziła i pomachała. - Wyzdrowiałaś? Przyjdiesz w tym tygodniu na trening?

- Jeszcze nie wiem! - odkrzyknęłam.

- To na razie. Spieszę się. Ciao!

- Ciao!

- Hej, Nadine, tutaj jesteśmy. - Tato otworzył drzwiczki samochodu i skinął ręką. Rodzice czekali na mnie w aucie.

- No i co o tym myślisz, Nadine? - spytała mnie mama. Wzruszyłam ramionami.

- W każdym razie, dobrze, że wiemy, gdzie możemy się zwrócić o radę - powiedział tato, podczas gdy mama uruchomiła silnik auta.

Zaskoczył mnie. Dawniej był bardziej powściągliwy w swoich ocenach.

- Ten Manuel zrobił na mnie bardzo dobre wrażenie - oznajmiła mama. - Wracamy do domu czy może gdzieś jeszcze pojedziemy?

- Może do kina? - zaproponował tato.

Pokręciłam głową. - Wolałabym wrócić do domu.

Dzisiejsza rozmowa wyczerpała mnie. Czuję się zmęczona i chciałam sobie wszystko w spokoju przemyśleć. To, co powiedział mi Manuel, o nim samym, o odwadze i sile, z jaką znosił HIV. Podziwiałam go za to.

W środę wróciłam do szkoły. Trochę się obawiałam chwili, kiedy znów zobaczę koleżanki i kolegów z klasy. Jednakże nie mogłam się ciągle ukrywać. Tak czy owak, nudziło mi się już w domu. Leżenie w łóżku i wałkowanie w kółko tych samych myśli nic nie dawało. Wszystko i tak obracało się wokół jednego tematu.

Chociaż mama naprawdę bardzo się o mnie troszczyła, krzyczałam na nią częściej niż kiedykolwiek. Tą swoją czułością działała mi na nerwy.

Próbowałam też napisać list do Floriana, ale zwyczajnie nie dałam rady. Zaczynałam kilka razy, jednak nic z tego nie wyszło. Potem czułam złość, że zmarnowałam tyle czasu.

Ciągle miałam wrażenie, że coś tracę - to sprawiało, że stawałam się coraz bardziej nerwowa. Nie żałowałam wcale tego, że opuściłam wiele lekcji w szkole - było mi to zupełnie obojętne. Chodziło raczej o życie ze świadomością, że mój czas na tym świecie najprawdopodobniej jest bardzo ograniczony. Niemalże słyszałam w pokoju tykanie niewidzialnego zegara. Wyobrażałam sobie też klepsydrę. Biały piasek przesypywał się nieustannie ciurkiem. Można było oszaleć!

Musiałam się od tego uwolnić, skierować myśli na inne tory. Musiałam znów zacząć żyć dniem powszednim. Musiałam znaleźć jakieś rozwiązanie, by nie zwariować.

Przekraczając próg szkoły, doznałam dziwnego uczucia. Chociaż nie było mnie tu zaledwie półtora tygodnia, miałam wrażenie, jakby minęła cała wieczność. Wszystko wydało mi się obce, odległe, tak naprawdę nie dotyczące mnie. W jakimś sensie nie należałam już do tego miejsca.

Najchętniej wróciłabym do domu. Błędem było pokazać się tu, jak gdyby nic się nie stało. Kilka sekund walczyłam z myślą, żeby wskoczyć na ławkę i głośno wykrzyknąć, że jestem nosicielką HIV. Jednakże resztki rozsądku powstrzymały mnie od tego.

Zauważyła mnie Patrycja, podeszła i po przyjacielsku poklepała po ramieniu.

- Hej, żyjesz jeszcze? Co to, zrobiłaś sobie wakacje w środku roku szkolnego? Ominęło cię kilka klasówek, szczęściaro!

Uśmiechnęłam się.

- Trzeba przyznać, że jesteś trochę blada - orzekła. - Rzeczywiście chorowałaś?

- Grypa - mruknęłam.

- Ach, tak.

Podeszła do nas Julia. - Cześć, Nadine! Pamiętasz jeszcze o imprezie w sobotę? Przyrowadzisz ze sobą Marka?

Poczułam lekkie ukłucie w sercu. Nie mogłam tam pójść - ani z Markiem, ani sama. Między mną a innymi istniała wyraźna przepaść. Nie należałam już do ich świata. Nie potrafiłam beztrąsko się cieszyć.

Byłam naznaczona śmiercią.

- Jeszcze nie wiem - odparłam wymijająco.

- Hola, hola.

Julia jakby coś przeczuwała. - Kłótnia z Markiem? Gdyby tylko o to chodziło... Wzruszyłam ramionami. - Tak jakby.

- Moja ty bidulko - pożałowała mnie Patrycja. - Najpierw choroba, a jakby tego było mało, jeszcze i zawód miłosny.

Nie mogłam tego znieść.

Nie potrafiłam.

Obawiałam się, że zaraz zacznę krzyczeć.

- Przepraszam - szepnęłam i uciekłam do łazienki. Tam zamknęłam się w kabinie. Serce waliło mi jak młotkiem. Długo trwało, zanim się uspokoiłam. Nie wyobrażałam sobie, że będzie aż tak ciężko. Nie przeczuwałam, że nawet niewinne rozmowy mogą mnie wyprowadzić z równowagi. Nie potrafiłam wziąć się w garść. Pięć minut przed dzwonkiem trochę się opanowałam. Jeszcze nigdy droga do klasy nie dłużyła mi się jak tamtego dnia. Kiedy wchodziłam do środka, wydało mi się, że wszyscy na mnie patrzą. Czy rzeczywiście?

Bzdura. Nikt nie patrzył. Każdy zajęty był sobą. Kilka osób odpisywało zadanie domowe, a inne rozmawiały ze sobą. Liza uśmiechnęła się do mnie. - Cześć, Nadine! W końcu jesteś z powrotem. Jeszcze nigdy tak cię nie rozłożyło. Nawet nie obchodziły cię najciekawsze nowinki.

- Cześć! - odparłam. Rzuciłam torbę na ławkę. Pozostać spokojna, *cool*. Nie dać po sobie nic znać. Wszystko było jak zawsze. Ślady po gąbce na tablicy. Zielone lilie, którym wyrosły długie pędy, tak że zwisały z parapetu. Peter, który z Gerhardem znów snuł plany na weekend...

Rozpoczęła się pierwsza lekcja. Angielski. Nie mogłam się skoncentrować i ciągle łapałam się na tym, że myślami jestem daleko.

Dokładnie jak w poprzednich dniach moje myśli krążyły wokół tego samego tematu: „Dlaczego ja? Kiedy rozwinie się u mnie pełnoobjawowe AIDS? Ile zostało mi jeszcze czasu? Co powinnam zrobić?”

Zamiast przepisywać struktury gramatyczne z tablicy, kreśliłam w zeszytcie: „dlaczego?”. Gdy dotarto do mnie, co robię, przekreśliłam słowo grubą kreską. Naprawdę

musiałam wziąć się w karby.

Machinalnie przepisałam wszystko z tablicy, nie rozumiejąc sensu notowanych zdań. To mógłby równie dobrze być chiński.

Na matematyce czułam się jeszcze gorzej. Jakoś jednak przebrnęłam niepostrzeżenie i przez tę lekcję. Byłam zaskoczona, kiedy w pewnym momencie usłyszałam dzwonek na przerwę. Guzdrałam się, zbierając swoje rzeczy z biurka, tak by inni wyszli z klasy. Jednakże Liza cierpliwie zaczęła na mnie.

Byliśmy ostatnie.

- Hej, Nadine, co się z tobą dzieje? Chyba jeszcze nie całkiem wydobrzałaś, co?

- Nie - ucięłam.

- Masz jakieś problemy? - spytała ściszone głosem.

- Mniej więcej.

- Chcesz o tym porozmawiać?

- Nie, nie czas na to.

Nie wzięła mi za złe odmowy. Potrafiła wczuć się w sytuację drugiego człowieka. Zresztą, przyjaźniłyśmy się też już długo i Liza wiedziała, że z niektórymi sprawami sama najpierw muszę choć trochę dojść do ładu, zanim będę mogła się zwierzyć.

Natomiast znając Patrycję, przeczuwałam, że będzie prawdopodobnie tak długo wiercić dziurę w brzuchu i wypytywać aż dowie się wszystkiego. Na wszelki wypadek musiałam przygotować sobie przekonującą wymówkę.

Na samą myśl ścisnęło mi się serce. Kłamać? Grać? Udawać? Czy tak będę musiała przeżyć resztę życia?

Pogoda była nieładna, większość uczniów zatem została w auli. Panował ścisk. „Czy oprócz mnie są tutaj jeszcze jacyś inni nosiciele HIV? - przemknęło mi przez myśl. Jeśli tak, to po czym można by ich poznać? Po rozpaczy w oczach?”

Stałam razem z Lizą. Przypomniałam sobie nagle pewien niezbyt udany wieczór, ten, podczas którego Liza zwierzyła mi się ze swoich kłopotów sercowych. Czy pogodziła się z Robertem? Od tamtej pory nie rozmawialiśmy więcej o nim.

- Czy Robert dał znać?

- Nie, nie usłyszałam od niego ani słowa. Tchórzliwie zrobił odwrót. Tak jest o wiele wygodniej - powiedziała Liza, zaciskając pięści. - Przez pierwsze dni było okropnie. Musiałam mocno się trzymać, by do niego nie zadzwonić. Może mam jeszcze latać za tym idiotą? Ani mi się śni!

Zadrgały jej kąciuki ust. Widziałam, że jeszcze nie przeboleła całkiem rozstania.

Objęłyśmy się bez słowa.

Od tyłu podeszła do nas Kim i postukała mnie w ramię.

- Hej, Nadine, wróciłaś! Przyjdiesz dzisiaj na trening?

Spojrzałam na nią zdziwiona. No tak, dziś wypadła trening. Straciłam poczucie czasu, wydawało mi się, że ostatni raz grałam w siatkówkę lata świetlne temu.

- Evelyn już o ciebie pytała. I co? Przyjdiesz?

- Pomyślę jeszcze o tym - szepnęłam.

Kim zdumiała się. - Co się dzieje? - spytała zdziwiona. - Chcesz zrezygnować? W ogóle nie chcesz już trenować?

O tym jeszcze nie zdecydowałam, i nie chciałam robić tego tu i teraz.

- Może przyjdę - odparłam wymijająco.

- A co to znaczy „może”? - Uśmiechnęła się i dała mi lekkiego kuksańca w zębra. - Oczywiście, że przyjdiesz. Bez ciebie nie ma naszej drużyny. Możemy od razu zbierać manatki. Evelyn wymyśliła dla nas właśnie nowy trening kondycyjny. Chce, żebyśmy do lata nabrały superformy.

Gdyby trenerka wiedziała, że mam HIV nie pokładałaby we mnie tak wielkich nadziei.

I znów pojawiła się ziemia niczyja, w której obrębie się poruszałam. Nie mogłam tak zwyczajnie zacząć w tym samym miejscu. A czy istniała jakaś inna, nowa droga? Moje życie zostało zepchnięte na boczny tor. Czy miała to być tylko przerwa na wstrzymanie oddechu, na przemyślenia, nastawienie zwrotnicy? Czy też pustka i rozpacz będą trwać aż do końca? Kim coś powiedziała, ale ja jej nie słuchałam.

- O ludu, rzeczywiście jesteś nieobecna myślami - przyznała ze śmiechem. - Bez ciebie nie gra się w siatkę tak fajnie. Miriam próbuje cię wprawdzie zastąpić, ale przecież wiesz, jak ona się zachowuje. Szturcha i szturcha. - Na twarzy Kim pojawił się grymas. - W ubiegłym tygodniu nadepnęła mi na stopę tak mocno, że już myślałam, że mi złamała mały palec.

Przypomniałam sobie Miriam, zawsze przesadnie pilną. Jej nadgorliwość działała mi trochę na nerwy, zresztą innym w zespole też.

- Hej, chyba jesteś dziś nie w humorze - stwierdziła Kim.

- Nadine na pewno wróci do drużyny - wtrąciła się Liza. - Najpóźniej wtedy, gdy przestaniesz robić jej wymówki.

Kim uniosła brwi, jednak nie odezwała się ani słówkiem. Liza wytrzymała jej wzrok.

- No nie, tylko się nie pokłóćcie. I to tylko dlatego, że nie jestem dziś w najlepszej formie - mruknęłam.

- To brzmi już lepiej - zaczęła Kim. Podniosła do góry kciuk. - A więc, Naddy, liczymy dziś po południu na ciebie. Kiwnęła ręką na pożegnanie i zniknęła w tłumie.

Jak minęły mi dalsze lekcje, naprawdę nie wiem. Miałam wrażenie, że nie dociera do mnie nic z przerabianego materiału. „Przecież to czyste marnotrawstwo czasu. Może powinnam od razu zrezygnować ze szkoły? Ale co zatem ma jeszcze sens w życiu?”

Wróciłam na rowerze do domu. Kiedy dojechałam, postanowiłam jednak pójść na trening. Nagle naszała mnie ochota pobiegać, poruszać się trochę. Może wysiłek fizyczny dobrze by mi zrobił?

Zjadłam tylko jogurt i zaraz potem pojechałam z powrotem. Nieco się spóźniłam, inne dziewczyny były już na sali.

Tak więc miałam przebieralnię tylko dla siebie. Stamtąd dochodziły mnie rozkazy Evelyn.

Jej głos był mi dobrze znany. I chociaż tutaj również czułam, że tak naprawdę nie należę już do tego miejsca, to jednak uczucie to nie było tak silne jak w szkole.

- Hej, jest Nadine! - krzyknęła Kim, kiedy weszłam na salę.

- E, no, witaj wśród żywych!

- Już myślałyśmy, że nigdy nie przyjdiesz. Dziewczyny przerwały rozgrzewkę i otoczyły mnie kołem.

Evelyn także podeszła, żeby się ze mną przywitać. Mocnym uściskiem dłoni omal nie zmiażdżyła mi palców.

- No, Nadine, wszystko w porządku?

- Prawie - skłamałam. W tej chwili podchwyciłam spojrzenie Miriam. Ujrzałam w nim dziwną mieszankę ciekawości i pogardy. Przestraszyłam się.

„Ona wie - błysnęła mi ostrzegawcza myśl. - Widziała mnie w poniedziałek, kiedy wychodziłam z poradni”.

Hardo wytrzymałam jej spojrzenie, aż odwróciła wzrok.

Evelyn klasnęła w dłonie. - No, moje panny, dosyć tego lenistwa, wracamy do ćwiczeń. Dziesięć okrążeń sali.

Biegłam z innymi, ale wkrótce zauważyłam, że brakuje mi tchu. Nie uszło to też uwagi Evelyn.

- Nie przeciążaj się - doradziła. - Po grypie minie trochę czasu, zanim znów będziesz w formie. Nie chcę, żebyś szarżowała.

Kiwnęłam głową i zaczęłam robić sobie przerwy. W duchu zaniepokoił mnie ten stan rzeczy. Czy moja zła kondycja to rzeczywiście tylko wynik przebytej grypy, czy też była to

już oznaka osłabienia organizmu, spowodowanego wirusem HIV?

- Nic mi nie jest - powiedziałam rozzłoszczona, kiedy musiałam chwilkę odpocząć na ławce. Dotąd nigdy mi się coś takiego nie zdarzyło.

- Zaostrzyłam trening - powiedziała Evelyn. - Nie martw się. Dojdiesz znów do siebie.

„Nie dojdę - pomyślałam ponuro. - Gdybyś tylko wiedziała!”

Może od razu powinnam powiedzieć trenerce, co się ze mną dzieje? Czyż nie ma prawa wiedzieć? Nie mogłam się na to zdecydować. Jeszcze nie teraz.

Miriam ostentacyjnie nie zbliżała się do mnie na sali. To dało się zauważyć. Wprawdzie przedtem nie przepadałyśmy za sobą specjalnie, ale jakoś się dogadywałyśmy. Jednakże sposób, w jaki mnie teraz ignorowała, naprawdę mnie rozwścieczył.

- Masz coś do mnie? - spytałam prowokująco, kiedy przypadkowo stanęłyśmy obok siebie, a ona znów wyraźnie się odsunęła.

Zaśmiała się tylko pogardliwie, ale nic nie odparła. Inne dziewczyny także zauważyły, że mnie lekceważy. Później, pod prysznicami, Kim powiedziała: - Miriam nie pasuje, że znowu grasz. Chyba na poważnie szykowała się już, by zająć twoje miejsce.

Czy to rzeczywiście było przyczyną jej zachowania? Niewykluczone. Miałam jednak złe przeczucia.

Być może podjęłam niewłaściwą decyzję, powracając do zespołu? Ale aż do czasu wyczerpującego treningu kondycyjnego wszystko przebiegało całkiem dobrze. Kiedy koncentrowałam się na piłce, na krótką chwilę zapominałam o wirusie HIV. Podczas meczu liczył się tylko refleks: czy przyjmę piłkę, czy też nie. To, co nie udało mi się w szkole (mianowicie przerwanie choć na chwilę spirali myśli), powiodło się tutaj. Jednak ledwo co opuściłam halę sportową, a już dopadły mnie na nowo przygnębienie i melancholia.

„Czy to wszystko ma jeszcze jakiś sens? Czy trening nie jest zwykłą stratą czasu? Czy nie powinnam spożytkować go na coś bardziej użytecznego? Ale na co?” Dziewczyny stały jeszcze w małych grupkach i rozmawiały lub umawiały się do kina. Kim spytała się mnie, czy nie miałabym ochoty obejrzeć dziś wieczorem nowego filmu z Hugh Grantem. Odmówiłam. Miałam wrażenie, że nie należę już do tego grona.

Znów ogarnął mnie paraliżujący smutek, który odbierał resztki energii. Szara pustka, dziura... Przytrzymałam się siodełka. Nie byłam nawet zdolna otworzyć zabezpieczenia roweru.

- Cześć, Nadine!

Głos był znajomy. Odwróciłam się.

- Marek!

Podszedł bliżej. - Długo się nie widzieliśmy.

Czy ucieszyło mnie to nieoczekiwane spotkanie? Nie, przyjemne mrowienie nie pojawiło się. Ani śladu po nim.

Jak powinnam się teraz zachować? Co powiedzieć? Jak wyjaśnić, że nasz związek się skończył, zanim tak naprawdę się rozpoczął? A prawdziwej przyczyny też nie mogłam mu przecież wyjawić.

Poczułam się zapędzona w kozi róg. Po prostu nie byłam przygotowana na tę sytuację.

- Pomyślałem, że cię odprowadzę - zaproponował nieśmiało. Na pewno inaczej wyobrażał sobie to spotkanie.

- Ogromne dzięki za różę - powiedziałam nerwowo, grzebiąc przy zamku blokady roweru, aby nie musieć patrzeć na Marka. - To miło z twojej strony, naprawdę.

Niech to diabli! Plotłam głupstwa, a właściwie chciałam mu powiedzieć, że w żadnym wypadku nie będziemy razem. Nie miałam jednak pojęcia, jak zacząć. Nie mogłam przecież wyjawić mu prawdy.

- Mogę się z tobą przejść kawałek? - zapytał.

- Jeśli chcesz.

Dlaczego się zgodziłam? Pragnęłam być przecież sama, by nie musieć rozmawiać i odpowiadać na pytania. Nie chciałam udawać, grać ani maskować się.

- To jak leci?

- Przerąbane - odparłam. Przynajmniej prawdziwa odpowiedź.

Spojrzał na mnie wystraszony. - Jesteś jeszcze chora? Gdyby wiedział, jak bardzo jestem chora!

- Och, po prostu nie czuję się dobrze - parsknęłam. - Głównie psychicznie. Mam parę problemów na głowie.

Szliśmy chwilę w milczeniu.

- Przykro mi, jeśli coś zrobiłem nie tak - powiedział niepewnie. - Wprawdzie nie wiem, dlaczego jesteś zła, ale myślę, że powinienem był do ciebie częściej dzwonić. Jakoś... nie wiedziałem, czy tego chcesz... ech... i ja... Ach, sorry!

Jego przeprosiny zdenerwowały mnie. To nie jego wina, że między nami wszystko się zmieniło. To ten przeklęty wirus, który wywrócił moje życie do góry nogami!

- Posłuchaj. Przechodzę teraz głęboki kryzys. To nie ma nic wspólnego z tobą. Wiem tylko, że nie ma dla nas przyszłości. Po prostu zbyt wiele spraw się zmieniło. Nie mogę ci teraz dokładniej wyjaśnić.

Bardzo go to dotknęło. Cios poniżej pasa.

- OK - powiedział strapiony. - Zrozumiałem. Jest ktoś inny.

Ułatwił mi zadanie. Nie musiałam już wymyślać wymówki.

- Tak, Marku - skłamałam. - Masz rację. Przełknął ślinę. - To dlaczego robiłaś mi nadzieje?

- Wtedy jeszcze nie byłam pewna - odparłam. Chwyciłam mocno za rower. No, Nadine, graj swoją rolę dalej. Jeśli zachowasz zimną krew, to zaraz skończy się twój występ. - Można się przecież pomylić.

Równie dobrze mogłam go spoliczkować. Jego twarz skamieniała.

- No, dobrze - odpowiedział. - To pewnie koniec.

- Tak. - Nic innego nie przyszło mi na myśl. Patrzyłam za nim, kiedy przeszedł na drugą stronę ulicy i oddalił się. Nie obejrzał się za mną. Miałam ochotę rozplakać się na głos. Myślałam, że już nic nie będzie w stanie mnie poruszyć, ale teraz coś we mnie pękło.

Musiałam z kimś porozmawiać. Gdy wróciłam do domu, mama już tam była. Umiała słuchać. Kiedy jej przedstawiłam przebieg pożegnania z Markiem, zapytała, czy nie lepiej byłoby powiedzieć mu prawdę.

- Może wcale by się z tobą nie rozstał? - podsunęła myśl. Nie potrafiłam sobie tego wyobrazić. A uczucia z litości nie chciałam.

- A jeśli naprawdę cię kochał? - zapytała mnie mama. Pokręciłam głową. - Dopiero zaczynaliśmy się trochę bliżej poznawać.

Spostrzegłam, jak wielką zmianę przeszłam w ciągu tak niewielu dni.

Jeszcze niedawno wystarczało mi, kiedy chłopak dobrze tańczył, śmiał się z tych samych dowcipów co ja, miał apetyt na życie i był wrażliwy.

Naprawdę nie miałam pojęcia, czy ułożyłoby mi się z Markiem, gdybym nie dowiedziała się, że jestem nosicielką wirusa HIV. Jednak teraz musiałam przede wszystkim dojść najpierw do ładu z samą sobą.

Zawsze byłam dumna z tego, że jestem pewna siebie. Wtedy wszystko się zmieniło. Wiedziałam, że potrzebuję pomocy innych. A także ich otuchy i wsparcia.

- O czym myślisz? - zapytała mama i pogłaskała mnie ostrożnie po włosach.

- Co za idiotyzm - wybuchnęłam histerycznym śmiechem. - Właśnie wyobraziłam sobie idealnego mężczyznę dla siebie. Musiałby być mieszanką księdza i lekarza. Coś okropnego!

Rozpłakałam się.

- Dzisiejszy dzień to trochę za dużo dla ciebie - przyznała mama. Sama musiała zdobyć się jeszcze na zrozumienie moich ekstremalnych huśtawek nastroju.

- To wszystko jest za ciężkie dla mnie - chlipnęłam i oparłam się mocno o jej ramię. - Nie udźwignę tego, mamo.

- Oczywiście, że udźwigniesz - zaprzeczyła. - Już dzisiaj zaczęłaś. Uważam, że to fantastyczne, że znów poszłaś na trening. Spotkałaś się z Markiem i zerwałaś z nim. W normalnych okolicznościach nie byłoby to wcale takie łatwe.

W normalnych okolicznościach! Właśnie tego tak bardzo bym sobie życzyła: normalności, bycia zdrowym! Większość chorób można wyleczyć, dlaczego tej nie? Dlaczego nikomu nie udało się pokonać tych wirusów, dlaczego nie można było opanować AIDS, dlaczego nie wynaleziono szczepionki przeciw HIV?

Byłam zła, że naukowcy rozwinęli najbardziej wyrafinowaną biologiczną i chemiczną

broń, a nie udało im się zniszczyć tak prosto zbudowanego organizmu, jakim jest wirus.

- Połóż się do łóżka - poradziła mama. - Zaparzę ci herbatkę na uspokojenie. Po niej na pewno będziesz lepiej spać.

- Nie odrobiłam jeszcze zadania domowego.

- Możesz chyba odpisać je jutro rano od Lizy, tak? - Mama znów zadziwiła mnie swoją zaradnością.

Posłuchałam jej rady. Poczułam się lepiej. Byłam naprawdę wykończona. Od kiedy dowiedziałam się, że jestem seropozytywna, wydawało mi się, że każdy ruch, każde działanie zabiera mi podwójną dawkę siły. Świadomość, że nie ma dla mnie żadnego wyjścia, zdawała się wysysać ze mnie całą energię.

Tej nocy spałam zadziwiająco dobrze. Następnego ranka obudziłam się wypoczęta. Rozluźniona leżałam tak kilka minut, dopóki znów nie przypomniałam sobie o wszystkim. Najchętniej przeleżałabym w łóżku resztę dnia. Jednak gdybym po raz kolejny została w domu, w szkole pewnie zaczęto by snuć domysły co mi dolega. A właśnie tego chciałam uniknąć!

Kiedy szłam do łazienki, rozboleły mnie nogi. „AIDS - pomyślałam w panice. - Zaczęło się”.

Serce waliło mi jak oszałałe.

Dopiero później dotarło do mnie, że pewnie mam zakwasy. No jasne, Evelyn przegoniła nas wczoraj przez skrzynie w ramach specjalnego treningu w skakaniu, które odgrywa tak ważną rolę w siatkówce. Stąd te bóle mięśni nóg. Byłam wściekła na samą siebie. Od kiedy zrobiłam się tak wrażliwa na ból? Czy teraz każdy skurcz mięśnia będzie napędzał mi strachu?

Więcej nie zwracałam już uwagi na zakwasy. Po śniadaniu pojechałam do szkoły - pedałowalam ile sił w nogach - nie, żebym tak się spieszyła, ale by sprawdzić swoją sprawność fizyczną. Zasapana wstawiłam rower do stojaka. Poprawiłam swój własny rekord o pół minuty!

Zaraz potem uznałam, że to idiotyczne. Czy moje życie ma odtąd przebiegać właśnie w takim tempie tylko dlatego, że chcę uciec przed własnym strachem? Nie tędy droga! Czy nie ma czegoś pośredniego? Muszę być bardziej opanowana, odnaleźć wewnętrzny spokój. Tylko jak? I kiedy?

Nic nie przyspieszać, jak poradził mi Manuel. Przede wszystkim nie mogę stawiać siebie samej pod taką presją.

Jak inni nosiciele HIV radzili sobie z własnym strachem?

Byłam zdecydowana pójść na spotkanie grupy samopomocy. Już sama świadomość, że inni też borykają się z podobnymi problemami, może pomóc. W następnym poniedziałek przypadał kolejny mityng.

Może o to chodzi - zawsze myśleć tylko o najbliższym celu. Nie wybiegać daleko w przeszłość, tylko posuwać się do przodu małymi krokami.

Lekcje zniosłam całkiem dobrze. Nie musiałam uciekać się do wybiegów i nie cierpiałam aż tak bardzo jak poprzedniego dnia. Przyjęłam to za dobry znak. Może potrafiłabym przywyknąć do tego, by zadowalać się właśnie takimi małymi zwycięstwami.

Jednak już następnego dnia zdarzyło się coś, co cofnęło mnie do punktu, w którym znajdowałam się wcześniej. Już przed południem zauważyłam, że Kim nie jest tak serdeczna, jak kiedyś. Ale może tylko się spieszyła?

Na trening po południu znów przyszedłam trochę spóźniona. Inne dziewczyny były już na sali. Kiedy weszłam, wszystkie gapiły się na mnie dziwnie. W każdym razie takie odniosłam wrażenie. Kilka zawołało: - Cześć, Nadine - albo: - Hej - ale słowa te zabrzmiały inaczej niż zwykle. Wyczułam w nich fałszywą nutę. Może byłam przeczulona.

- Znowu się spóźniłaś - skomentowała Evelyn, unosząc brwi.

- A mnie dziwi, że w ogóle jeszcze tutaj przychodzisz - odezwała się Miriam. Po tym zapadła cisza.

Poczułam ciarki na całym ciele. - A dlaczego miałabym nie przychodzić? - zapytałam zgnębiona. Po sali przebiegł szmer.

- Czy to prawda, co powiedziała Miriam? Naprawdę masz AIDS? - spytała mnie Renata.

Poczułam się tak, jakby zadano mi cios prosto w serce. Miałam wrażenie, że ziemia usuwa mi się spod nóg. Po co w ogóle tutaj przyszedłam!

- AIDS? - powtórzyła z niedowierzaniem Evelyn. Jej wzrok wędrował od Renaty do mnie. - Renato, co za głupoty opowiadasz! Miriam, co ci przyszło do głowy?!

Tak więc Miriam wyciągnęła wnioski z tego, że zobaczyła mnie pod poradnią, i od razu podzieliła się nimi z dziewczynami.

Nie miałam siły kłamać. - Jestem nosicielką wirusa HIV - odparłam cicho. - To jest pewna różnica.

Evelyn zbladła, po sali przebiegł szmer. Ręce trzymałam za sobą, zaciskając pięści. To było straszne. Pragnęłam tylko stąd zniknąć. Gdybym mogła rozpuścić się w powietrzu... Jak one wszystkie się na mnie gapiły!

- Dlaczego nic nie powiedziałaś? - zapytała trenerka. Gula w gardle zrobiła się

większa.

- Wiem o tym... dopiero od soboty Szmer narastał, zrobiło się głośno.

- Jeśli Nadine zostaje, to ja więcej nie przychodzę na trening - oświadczyła Miriam. -

Przecież to jest zaraźliwe. Jeszcze mi życie miłe.

Wezbrała we mnie złość.

- Wcale nie tak łatwo jest się tym zarazić - wybuchłam. Nikt się nie odezwał. Poczulałam się tak, jakbym zasiadała na ławie oskarżonych. Dlaczego nikt nie stanął po mojej stronie? Dlaczego nikt się za mną nie wstawił?

- Brałaś narkotyki? - chciała wiedzieć Evelyn. Poczzerwieniałam. Co to ma do rzeczy? No jasne - jeśli zachorowałeś na AIDS, to musiałeś zrobić coś niemoralnego!

- Nie, złapałam to przez seks! - krzyknęłam. - Zaraziłam się od mojego chłopaka! Mojego pierwszego i jedyne go chłopaka! A on zakaził się poprzez transfuzję krwi! Jesteście teraz zadowolone?! Chcecie jeszcze coś wiedzieć?!

Nie czekałam na odpowiedź, tylko wybiegłam z sali. Zwinęłam szybko swoje rzeczy w szatni i popędziłam na dwór.

„Te przeklęte baby! Co one wiedzą?!” Zachowywały się tak, jakbym nastawała na ich życie. A to przecież tylko ja miałam umrzeć.

Chwiałam się na rowerze.

„Nigdy mnie więcej nie zobaczą” - poprzysięgłam sobie. Nigdy więcej nie chciałam znaleźć się w tak upokarzającej sytuacji!

Jak dotarłam do domu? Nie wiem. Wróciła mi świadomość, kiedy już leżałam, szlochając, na kanapie.

Co mogłam na to poradzić, że byłam zarażona HIV?

Manuel powiedział, że z AIDS czy z HIV niezwiązana jest żadna wina. Mimo to czułam się napiętnowana jak banitka.

I nikt nie wziął mnie w obronę, nawet jedna jedyna osoba!

Zadzwoił telefon. Nie odbierałam. Było mi to obojętne. Ktokolwiek dzwonił, dał w końcu za wygraną. Poszłam do kuchni po szklankę wody. Kiedy wracałam, ponownie rozległ się dźwięk telefonu, akurat gdy znajdowałam się tuż obok aparatu. Wzdrygnęłam się tak, że aż rozlałam wodę.

W głowie zaświeciła mi złudna nadzieja, że to może doktor Schmidt, który chce mi przekazać, że wynik testu okazał się fałszywy.

- Gebert. - Odebrałam z ociąganiem. Oczywiście to nie był doktor Schmidt, tylko Liza.

- Cześć, Nadine! - odezwała się wesoło. - Myślę, że już najwyższy czas, żebyśmy znów się spotkały. Co ty na to? Właśnie przeczytałam, że w kinie grają nowy film. Masz ochotę się wybrać?

W tej chwili w ogóle nie wiedziałam, co powinnam odpowiedzieć i zaczęłam szukać błahych wykrętów.

Liza jednak nie dała się zmylić. - Hej, Nadine, co się z tobą dzieje? To całkiem do ciebie niepodobne. Przecież lubisz chodzić do kina, a ostatnio całkowicie się zasyłaś w domu. Musi być jakiś powód!

Moje opanowanie gdzieś przepadło. Nie chciałam dłużej kłamać. To, czy wszyscy powinni się teraz dowiedzieć prawdy o mnie, było mi obojętne!

- Jestem nosicielką wirusa HIV Teraz już wiesz. Liza milczała.

No, proszę. Co można było na to powiedzieć?

- To tyle - podsumowałam. - Cześć.

- Zaczekaj - poprosiła. - Mogę do ciebie wpaść?

- Jeśli się nie boisz, że się zarazisz. - Odparłam i odłożyłam słuchawkę.

Niedługo potem rzeczywiście przyszła. Kiedy otworzyłam jej drzwi, objęła mnie bez słowa i uścisnęła mocno i serdecznie.

- Ach, Nadine. Tak mi przykro. Nie miałam zielonego pojęcia, dlaczego ostatnio byłaś taka przygnębiona i zamknięta w sobie.

Poszłyśmy do mojego pokoju i tam opowiedziałam jej o wszystkim. O Florianie, strachu, jaki przeżywałam, i wreszcie o teście. Na koniec zrelacjonowałam, co się stało na treningu i jak bardzo rozczarowały mnie moje koleżanki z drużyny. Opowiadając, nie mogłam powstrzymać łez.

- One są porządnie stuknięte! - Oburzyła się Liza i postukała znacząco w czoło. - Nawet nie zdają sobie sprawy, jak głupio zareagowały! Oj, będę im miała coś do powiedzenia! - Odgarnęła do tyłu włosy. - Jak się nazywa twoja trenerka? Zaraz poszukam jej numeru w książce telefonicznej i zadzwonię. Jeśli pozwoli, żeby cię wykluczono z grupy, to jej nagadam do słuchu. A potem wniosę na nią skargę do związku siatkarzy.

- Ach, daj spokój - powiedziałam. - I tak już więcej tam nie pójde.

Mimo to waleczny duch Lizy poprawił mi humor. Po rozczarowaniu, jakiego doznałam na treningu, fakt, że ktoś trzymał ze mną, podniósł mnie mocno na duchu.

- Dzwonię do twojej trenerki - upierała się przyjaciółka. - Natychmiast!

Razem zajrzałyśmy do książki telefonicznej. Piers, E. To musiała być Evelyn. Nie podano adresu. Liza wybrała numer, ale odezwała się jedynie automatyczna sekretarka. Przy-

jaciółka odłożyła słuchawkę, nie zostawiwszy wiadomości.

- Jeszcze nie wróciła - powiedziałam. - W piątki kończy później zajęcia. Zupełnie o tym zapomniałam.

Ścisnęło mnie w żołądku, ilekroć pomyślałam o zajściu na sali gimnastycznej. Złość i oburzenie mieszały się z rozpaczą i niepewnością. Nie byłam już taka jak inne dziewczyny. Także jako siatkarka stałam się bezużyteczna. Przecież mogłam w każdej chwili odpaść. Ale o tym nie musiałam dłużej rozmyślać; dla mnie drużyna, tak czy owak, umarła.

- Czy sport wiele dla ciebie znaczy? - zapytała mnie Liza.

Wzruszyłam ramionami. Tak, kiedyś wiele dla mnie znaczył. W moim obecnym stanie nie potrafiłam jednak zdecydować, co było dla mnie ważne, a co nie. Żyłam w beznadziejnej strefie uczuć. Na tej ziemi niczyjej wszystko się jeszcze kotłowało. Nie byłam w stanie dojść do punktu, z którego mogłabym oceniać rzeczowo sprawy. Oparłam głowę na rękach. Liza objęła mnie ramieniem.

- To było takie podłe - szlochałam. - Nawet Kim, nawet ona nie odezwała się słowem, tylko pozwoliła na to, co się stało. Dlaczego nagle wszystkie się ode mnie odwróciły? Dlaczego nikt nie wstawił się za mną?

Liza próbowała mnie pocieszyć. - Może niektóre z nich były po prostu zbyt zaskoczone i zupełnie nie wiedziały, jak powinny się zachować. Poczekaj, kiedy sobie spokojnie przemyśłą całą sprawę, zrozumieją, jak głupio postąpiły.

Oby miała rację. Mimo to moje zaufanie do koleżanek z drużyny zostało bardzo nadszarpnięte. Już sama ocena Evelyn uległa zmianie. Byłam tak dumna, że jestem dobrą zawodniczką. Uznanie trenerki wiele dla mnie znaczyło. Jednak nie była człowiekiem, za jakiego ją uważałam.

- Spróbuję jeszcze raz - zdecydowała Liza, choć minęło najwyżej pięć minut od ostatniej próby, i podeszła do telefonu. Zostałam w pokoju. Na pewno nikt się nie zgłosi.

Jednak, ku mojemu zaskoczeniu, usłyszałam głos przyjaciółki. Brzmiały w nim złość i oburzenie. Dochodziły do mnie jedynie pojedyncze słowa, a nie całe zdania. Było mi bardzo miło, że Liza tak mnie broni.

Po kwadransie wróciła do pokoju. Twarz miała zarumienioną z wrażenia, więc najpierw musiała się czegoś napić, by ochłonać. Potem zrelacjonowała mi przebieg rozmowy z Evelyn.

- Mówi, że jest w całkowitym szoku. Spytałam ją, czy sądzi, że sposób, w jaki zostałam potraktowana, jest fair. Powiedziałam jej, że przyjaźnię się z tobą i że znam cię już wiele lat. Powiedziałam jej też, że uważam za bezwstydne to, iż podejrzewała cię o branie narkotyków.

Odparła, że obawiała się tylko o reputację swojej drużyny. Później obiecała mi, że zasięgnie dokładnej informacji. Porozmawia także z innymi zawodniczkami. Powiedziałam jej, że to, co się dziś stało, uważam za wielkie świństwo. I czy myślała może o tym, jak ty się z tym czujesz, kiedy tak się ciebie traktuje. Przecież nie prosiłaś się o AIDS. No, to musiała przełknąć wiele nieprzyjemnych słów. - Liza wstrzymała oddech.

- Nie mam AIDS, jestem seropozytywna. To znaczy tylko, że noszę w sobie wirusa. Choroba jeszcze się nie rozwinęła.

Przyjaciółka spojrzała na mnie lekko poirytowana. - Ale możesz przekazywać go dalej?

- Tak, ale tylko w określony sposób - potwierdziłam. Chciałam jej wytłumaczyć, lecz odmówiła.

- Wiem, jak się przenosi. I to, że nie można się nim zarazić przez całowanie czy uścisk dłoni. Nie byłam jedynie pewna, czy można się od ciebie zarazić już wtedy, gdy jesteś tylko seropozytywna.

- Nie boisz się? - spytałam bez ogródek.

Liza pokręciła głową. - Znam cię przecież od dawna. Jest mi ogromnie przykro, że znalazłaś się w takiej parszywej sytuacji. Zawsze myślałam, że AIDS czy ten... eee... no ten dziwny wirus dotyka tylko ludzi, którzy... jak by to ująć... trochę przegięli. Myślałam, że to mnie nie dotyczy. Teraz wiem, jak głupie jest takie nastawienie.

Liza jeszcze u mnie była, kiedy wróciła mama. Opowiedziałyśmy jej, co zdarzyło się na treningu i, na szczęście, tak się wzięłam w garść, że nie rozbeczałam się przy tym. Mama była w tym samym stopniu oburzona co my.

- Nie pójdziesz tam więcej - zdecydowała. Dokładnie taka sama była moja pierwsza reakcja.

- Ale właściwie dlaczego nie? - zapytała Liza. - Jeśli trening sprawia Nadine przyjemność i wzmacnia jej organizm, to dlaczego miałyby z niego zrezygnować? Przecież nie ma żadnego realnego niebezpieczeństwa zakażenia innych zawodniczek. Na miejscu Nadine próbowałabym wywalczyć swoje prawa!

- Nie wiem, czy w ogóle chcę je jeszcze oglądać - szepnęłam. Naprawdę tego nie wiedziałam. Oczywiście dla mnie było jedynie to, że więcej nie chcę przeżywać podobnych scen, w żadnym wypadku!

W poniedziałek po raz pierwszy poszłam na spotkanie grupy samopomocy chorych na AIDS i nosicieli wirusa HIV. Spotkałam tam też Manuela. Ucieszyłam się na jego widok.

- Cześć, Nadine! - przywitał się. - Fajnie, że przyszedłaś. Jak leci?

Nadal czułam się przygnębiona. Strach, wynikający z przykrego doświadczenia na piątkowym treningu, sprawił mi wiele kłopotu. Przez cały weekend nigdzie nie wychodziłam, zaszyłam się w domu. Nie chciałam jednak uskarżać się przed Manuelem, bo już przy wejściu zauważyłam tutaj kilka osób wyraźnie dotkniętych chorobą. Po kilku innych w ogóle nic nie było poznać. Byłam tu najmłodsza. Jednak parę osób wyglądało na niewiele starszych ode mnie. Jeden chłopak - oceniłam go na dziewiętnaście lat - miał na twarzy wyraźne fioletowoczerwone plamy. Dowiedziałam się w tym czasie, że plamy oznaczają mięsaka Kaposiego, rodzaj nowotworu, na który często zapadają mężczyźni chorzy na AIDS. Chłopak przypominał mi trochę Floriana. „A propos Floriana. Jak mu się wiedzie?” Jeszcze do niego nie napisałam. Za każdym razem, kiedy chciałam zacząć list, ogarniał mnie dziwny bezwład. Po prostu nie znajdowałam właściwych słów. W żadnym razie nie chciałam, by Florian odniósł wrażenie, że winię go za moje nieszczęście. Ale właśnie tak niemądrze czasami czyniłam. Byłam w takich chwilach nieopisanie wściekła na niego. On mnie zaraził. Gdyby nie Florian, to nie dopadłby mnie ten przeklęty wirus!

Po takich „fazach” musiałam sobie znów niemal siłą tłumaczyć, że z AIDS nie wiąże się żadna wina. W końcu wtedy oboje chcieliśmy się ze sobą przespać; ja w tym samym stopniu co on. Nie, naprawdę nie mogłam czynić Florianowi żadnych wyrzutów!

Najpierw czułam się w grupie trochę niepewnie. Przecież poza Manuelem nikogo tu nie znałam. Jednakże to szybko się zmieniło. Przedstawiliśmy się po kolei z imienia i każdy dodał jeszcze kilka zdań o sobie.

Chłopak z plamami na twarzy nazywał się Andi i miał dwadzieścia jeden lat. Trochę się więc pomyliłam co do jego wieku. O tym, że jest nosicielem, wiedział od szesnastego roku życia. Od dwóch lat miał wszystkie symptomy AIDS. Andi robił wrażenie walecznej osoby. Był zdecydowany nie poddać się chorobie.

Dwudziestosiedmioletnia Gizela wiedziała od pół roku, że nosi w sobie wirusa HIV. Sprawiała wrażenie bardzo przygnębionej i, podobnie jak ja, była tutaj po raz pierwszy.

Potem przyszła kolej na mnie.

- Nazywam się Nadine i mam prawie siedemnaście lat - powiedziałam. - Wiem od tygodnia, że jestem zarażona. Od tej chwili wszystko się zmieniło. - Musiałam przełknąć

ślinę, bo znów ścisnęło mi gardło. - Nie mam pojęcia, jak dalej będzie wyglądało moje życie.

Po tej prezentacji każdy, kto chciał, mógł opowiedzieć o swoich problemach i doświadczeniach. Manuel przejął rolę kogoś w rodzaju prowadzącego dyskusję.

Czterdziestoletni mężczyzna zwierzył się, że dostał natychmiastowe wypowiedzenie wynajmu mieszkania zaraz po tym, kiedy właściciel dowiedział się o jego chorobie. Teraz znów mieszka u swojej siedemdziesięcioletniej matki.

- Nie miałem siły, by dochodzić swoich praw w sądzie - przyznał. - Czasu, który jeszcze mi pozostał, nie chcę wypełniać kłótniami. Dla mojej matki to wielkie obciążenie. Jest jeszcze w dobrej kondycji. Da sobie radę, kiedy przyjdzie mi ponownie spędzić kilka tygodni w szpitalu. Ale kto się nią zaopiekuje, gdy będzie starsza, a mnie zabraknie? Jestem jej jedynym synem... Nie chcę, by trafiła do domu starców. - Prawie płakał przy tych słowach.

Gizela zwierzyła się, że jej największym marzeniem jest zostać matką, lecz każdy jej to odradza. Ryzyko, że dziecko urodzi się zarażone, jest zbyt duże. Poza tym jej partner opuścił ją ze strachu przed wirusem. Jednak niespełnione pragnienie sprawiało, że niemal traciła zmysły.

Słuchanie tego, z jakimi problemami inni musieli się zmagać, było wstrząsającym przeżyciem. Związki, nawet małżeństwa z długoletnim stażem, rozpadały się. Przyjaciele się odsuwali, ludzie, którzy nie mieli pojęcia o AIDS i HIV spanikowani reagowali przesadnie. Tak na to spojrzawszy, to, co stało się w mojej drużynie, było właściwie całkiem typowe.

Wprawdzie wciąż nie potrafiłam zdobyć się na wyrozumiałość wobec tego, jak nie fair dziewczyny zachowały się w stosunku do mnie, jednak nieco złagodziłam swoją opinię. Przecież to jasne, one się zwyczajnie bały. Każdy chciał ratować własną skórę. To zdarzyło się wcale nie dlatego, że nagle wszystkie zaczęły mnie nie cierpieć. Przynajmniej, jeśli chodziło o większość. Co do Miriam, to nie miałam już takiej pewności.

Zdobyłam się na odwagę i zaczęłam opowiadać o tym wypadku. Opisałam, co się stało, i powiedziałam też, że najchętniej więcej bym tam nie poszła, choć gra w siatkę sprawia mi wielką frajdę.

- Musimy przeciwstawić się dyskryminacji - wypowiedział się Manuel. - Wprawdzie dobrze cię rozumiem i mogę sobie wyobrazić, jak bardzo uraziło cię takie zachowanie.

Jednak fałszywym krokiem byłoby samemu usunąć się z powodu urażonej dumy.

- A więc sądzisz, że powinnam znów chodzić na trening? - Już na samą myśl robiło mi się niedobrze.

Manuel potaknął. - Zakładając, że czujesz się na tyle silna, by przeciwstawić się swoim koleżankom z drużyny W końcu musi nam się udać, zniszczymy mur uprzedzeń.

Powinnaś postąpić tak nie tylko ze względu na siebie, ale także przez wzgląd na innych chorych na AIDS lub nosicieli HIV. Wiem, że w tej chwili nie potrafisz wybiegać myślą tak daleko, tkwisz jeszcze zbyt głęboko we własnych problemach. To całkowicie zrozumiałe. - Uśmiechnął się do mnie.

Odpowiedziałam mu słabym uśmiechem. Dobrze mi robiła rozmowa z Manuelem. Mimo swojej choroby był taki silny. Cieszyłam się, że go poznałam.

Także Andi próbował dodać mi odwagi. Opowiedział o tym, jak przez cały czas starał się przemilczeć fakt, że jest nosicielem HIV. Kiedy później rozwinęło się AIDS i na jego twarzy widoczne stały się plamy, Andi miał straszne kłopoty w warsztacie, w którym pracował jako mechanik, naprawiał ciężarówki.

- Niewiele brakowało, a szef wywaliłby mnie z roboty. Działalem mu na nerwy. Zarzuciłem go broszurami. Przyniosłem mu nawet kasetę z przegraną audycją telewizyjną o AIDS. Po prostu nie dawałem za wygraną. W końcu zrobiło mu się głupio i dał mi spokój. - Andi wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu. - Powinnaś kiedyś zobaczyć, jak mnie teraz broni, kiedy ktoś w warsztacie powie coś na mnie. - Znow spowaźniał. - Ale bywają chwile, kiedy najchętniej spuściłbym na niektórych dźwig.

Najwyraźniej, huśtawki nastrojów były typową rzeczą, wszyscy ich doświadczyli. Uspokoilo mnie to.

Czasami naprawdę bałam się, że nie podołam temu wszystkiemu i zwyczajnie sfiksuję. Mój nastrój zmieniał się jak w kalejdoskopie. W jednej chwili byłam rozluźniona i prawie zapomniałam, że noszę HIV, by już w następnym momencie przypomnieć sobie o tym i znów poczuć ten obezwładniający strach. Najgorzej było w nocy. Często zdarzały mi się prawdziwe napady paniki. Wtedy czasami wyskakiwałam z łóżka, aby załatwić jakiegokolwiek sprawę, by tylko nie marnotrawić czasu. Oczywiście, był to czysty idiotyzm.

Kiedy utworzyliśmy małe grupki dyskusyjne, Gizela opowiedziała mi, że ona też miewała takie stany. Była wychowawczynią w przedszkolu, ale gdy dowiedziała się, że wynik testu jest pozytywny, w panice złożyła wypowiedzenie i teraz nie ma pracy.

- Poszukam sobie czegoś - powiedziała. - Przesiadywanie cały dzień w domu i rozmyślanie nic nie da. Nie chcę już tylko pracować jako przedszkolanka.

- Boisz się, że mogłabyś zarazić dzieci? - spytałam.

Gizela potrząsnęła głową. - Nie, raczej na odwrót. W przedszkolu krążą ciągle bakterie i wirusy. Miałam grupę liczącą dwadzieścia pięć maluchów, i wszystkie, co do jednego, kaszlały lub kichały. Możesz to sobie wyobrazić. Potem wybuchała szkarlatyna lub krążyły zarazki salmonelli. Dla mnie to po prostu zbyt ryzykowne. Nie chcę się narażać na ciągle nie-

bezpieczeństwo infekcji, która mogłaby osłabić mój system odpornościowy.

Zrozumiałam, co ma na myśli. Od tej strony jeszcze tego nie rozpatrywałam. Byliśmy właściwie jedynymi, którzy musieli obawiać się infekcji. Każda choroba osłabiała przecież nasze i tak już uszczuplone naturalne siły obronne organizmu.

Wymieniłyśmy z Gizela adresy, aby kiedyś znów spotkać się poza grupą. Odwiozła mnie do domu.

W głowie huczało mi od wszystkiego, co usłyszałam. Różne losy, także osób już naznaczonych chorobą - to wszystko było jednak dość męczące. Mimo to nie żałowałam tego wieczoru. Dobrze się stało, że poznałam ludzi mających podobne do mnie problemy. Mogłam mówić otwarcie o swoich odczuciach i obawach, wiedząc, że ktoś mnie rozumie.

W domu czekała na mnie mama z wiadomością, że dzwoniła Evelyn.

Zrobiło mi się gorąco. - Co mówiła? - dopytywałam się.

- Chciała porozmawiać z tobą. O tym, co się wydarzyło w piątek - odparła. - Powiedziałam jej, że cię nie ma. - Na jej twarzy odmalowało się zadowolenie. - A potem wyłożyłam jej raz jeszcze, co myślę o tamtym zajściu i jak nikczemnie zachowały się wobec ciebie dziewczyny, a ona im na to pozwoliła.

Wpatrywałam się w nią. Ubodło mnie to, że się wtrąca w sprawę. O ile jeszcze w piątek cieszyłam się, że Liza tak się za mną wstawiła, o tyle teraz byłam przekonana, że powinnam wszystko załatwić osobiście. Nie mogłam przecież kryć się za innymi, tylko sama musiałam rozprawić się i stawić czoło problemom. W końcu to mnie dotyczy. To o mnie chodzi.

Mama zupełnie nie potrafiła pojąć, dlaczego tak się zdenerwowałam.

- Bo prowadzisz mnie za rączkę - ofuknęłam ją. - Podejmujesz za mnie decyzje. Fakt, że mam HIV, nie daje ci jeszcze prawa, by mnie traktować jak małe dziecko!

Wybiegłam do swojego pokoju i zatrzasnęłam za sobą drzwi.

Później przyszedł do mnie tata i próbował grać rolę rozjemcy między mamą a mną.

- Przecież ta wasza kłótnia jest bez sensu - dowodził. - Mama też się wkurzyła w ubiegły piątek. Myślę, że to całkiem w porządku, że powiedziała twojej trenerce, co sądzi o całej sprawie.

- Ale to moja drużyna - obstawałam przy swoim. - Mama nie ma prawa się wtrącać.

- Ona się nie wtrącała, jedynie wyraziła swoje zdanie - podkreślił. - To jej prawo. Czy wolisz, byśmy w przyszłości przyglądali się wszystkiemu w milczeniu?

Wybuchłam płaczem. O, i znów się pojawiły: to rozdrażnienie, te ciągłe huśtawki nastrojów. Zdążyłam już ochłonąć z gniewu. Reagowałam bardzo emocjonalnie na to, co

dotyczyło siatkówki, a perspektywa zaprzestania gry była dla mnie straszna.

- Musisz też zrozumieć, że dla nas ta sytuacja także nie jest wcale prosta - powiedział cicho tato. - W końcu nie zawsze potrafimy od razu odgadnąć, co przeżywasz. Raz pragniesz naszej pomocy, a potem znów ją odrzucasz. Nie potrafimy tego wyczuć. Czasami po prostu trzeba iść na kompromis. Każdy z nas musi się trochę zbliżyć do drugiej osoby, by wspólne życie było znośne. Nie sądzisz?

Zatopiłam się w ponurych myślach. Ojciec miał rację. Jednak na co zdał się rozum? Kolejny nawał emocji znów przepędzi z pewnością wszelki rozsądek.

Przełknęłam ślinę. - Powiedz mamie, że bardzo mi przykro - szepnęłam strapiona. - To wszystko jest takie trudne. Musicie mieć do mnie cierpliwość.

- A ty tak samo do nas - odparł tato. - My też jesteśmy tylko ludźmi. Nie mamy pojęcia o psychologii ani terapii. Próbuje tylko ci pomóc, najlepiej jak potrafimy. Możliwe, że popełniamy przy tym błędy.

Wstał i wyszedł z pokoju. Wkrótce potem przysłała mama i znów się pogodziłyśmy. Zaproponowała, bym zadzwoniła do Evelyn i sama z nią porozmawiała. Dokładnie to zamierzałam zrobić.

Właściwie było już dość późno, mimo to zaryzykowałam.

Evelyn od razu podniosła słuchawkę.

- Mówi Nadine. Mama powiedziała mi, że dzwoniłaś do mnie. - Serce waliło mi jak młotem.

Jednak Evelyn była w równym stopniu poruszona - wyczułam to po jej głosie.

- Tak, racja. Myślę, że obie mamy parę spraw do omówienia, ale dziś jest już na to zbyt późno. Zresztą, to nie rozmowa na telefon. Proponuję, byśmy się spotkały poza treningiem.

Milczałam. „Poza treningiem” - co to miało znaczyć? Czy to, że dla Evelyn ten rozdział jest już zamknięty? Żadnych treningów dla Nadine? Czy też jedynie to, że pozostali nie powinni być obecni przy naszej rozmowie?

- Jesteś tam jeszcze? - spytała trenerka.

- Tak.

- I co ty na to? Masz czas jutro po południu?

- Tak.

- Przyjdiesz do mnie, czy wolisz spotkać się gdzie indziej, na tak zwanym neutralnym gruncie? - Zaśmiała się krótko. - Nie myśl, że zapraszam cię do siebie, by zyskać przewagę.

- A może ty przyjdiesz do mnie? Wtedy ja będę mieć przewagę.

Niespodziewanie od razu na to przystała. - OK, w takim razie spotkamy się u ciebie. O trzeciej? Dobrze?

- W porządku.

- Dobrze, zatem do jutra - potwierdziła Evelyn. - Poza tym, chcę ci jeszcze powiedzieć, że jest mi bardzo przykro z powodu tego, co zdarzyło się w piątek. - Potem życzyła mi dobrej nocy i odłożyła słuchawkę.

Evelyn zjawiała się punktualnie. Widziałam z okna, jak za rogiem zaparkowała biały samochód. Tylny prawy błotnik wciąż jeszcze był wgnieciony. Ktoś wjechał w niego w czasie karnawału. Trenerka nie zdążyła oddać auta do warsztatu do wyklepania. Nie przywiązywała szczególnej wagi do wyglądu. Najważniejsze, że wóz jeździł.

Chwilę potem stałyśmy już naprzeciw siebie. Śmieszne uczucie. Nie przywykłam widywać Evelyn w dzinsach i bluzie. Zawsze widziałam ją ubraną w dres, na treningach.

- Cześć, Nadine!

- Cześć! - odparłam, robiąc jej miejsce, aby mogła przejść. - Wejdz.

Evelyn jeszcze nigdy u nas nie była. Ruszyła za mną do pokoju.

- Usiądź - poprosiłam. - Napij się czegoś? Podziękowała. - Przyszłam tutaj, bo chcę z tobą porozmawiać.

- Wiem. - Usadowiłam się na kanapie. Teraz siedziałyśmy naprzeciwko siebie. Panowała dość sztywna atmosfera. Czułam podekscytowanie. Nie chciałam jej niczego ułatwiać.

Evelyn bawiła się kluczykami od samochodu. - Przykro mi z powodu piątku.

Nic nie powiedziałam.

- To było takie... niespodziewane. Zaskoczyłaś mnie całkowicie. I ta reakcja drużyny... Nie potrafiłam zrozumieć, dlaczego nic mi nie powiedziałaś.

- Dowiedziałam się o tym zaledwie kilka dni wcześniej - odparłam.

- Chciałabym cię przeprosić także za zachowanie zespołu - szepnęła Evelyn.

- Czy dziewczyny wiedzą, że tu jesteś? - spytałam.

- Powiedziałam w piątek, że zamierzam z tobą porozmawiać.

„Teraz to się stanie” - przemknęło mi przez głowę. Teraz powie, że nie powinnam przychodzić więcej na trening. Usiłowałam zachować kamienną twarz. Evelyn nie może zauważyć, jak bardzo mnie to wszystko zabolowało. Jednak za plecami zacisnęłam dłonie w pięści.

Ale ona zapytała jedynie: - Co zamierzasz?

Wzruszyłam ramionami. - Nie wiem. - Sarkastycznie dodałam: - Nie mam jeszcze żadnych planów na umieranie.

- Tak szybko nie umiera się z HIV - odparła Evelyn.

- Ach tak?

- Również z AIDS można przeżyć wiele lat. Także dobrych lat.

Te frazesy porządnie mnie zdenerwowały. - Tak sądzisz?

- oburzyłam się. - Wprawdzie dopiero co odkryto u mnie HIV, a moje życie już jest gówniane! Ale tego w ogóle nie potrafisz sobie wyobrazić!

- Cholera, przyszłam tu, bo chciałam z tobą porozmawiać! - zaklęła. - Jednak ty w ogóle nie jesteś na to gotowa. Wolisz litować się nad samą sobą!

- A co, może powinnam skakać z radości, że mam HIV?!

- krzyknęłam. - Hurra! Mam to! Jak fajnie, wszyscy się ode mnie odwracają! Wreszcie mam święty spokój!

Evelyn poczerwieniała na twarzy. Robiła uniki, by na mnie nie patrzeć. Zaczęła więc grzebać w swojej torebce. Po chwili rzuciła mi na kolana cienką broszurę.

- Gdyby cię naszła ochota, przejrzyj to sobie.

W pierwszej chwili pomyślałam, że to jakaś nowa notatka informacyjna o AIDS, lecz potem się zorientowałam, że chodzi o turniej siatkówki.

- Co mam z tym zrobić?

- Termin zgłoszenia upływa za trzy tygodnie. Mam nadzieję, że do tego czasu powiesz mi, czy zamierzasz dalej trenować, czy rzucasz cały ten kram. - Evelyn wstała.

Patrzyłam na nią bez słowa.

- Bez ciebie nie mam po co zgłaszać naszego zespołu. Mówiłam ci ostatnio, że jesteś moją najlepszą zawodniczką. Kim wprawdzie też nie jest zła, a Renata może się jeszcze podszkolić. Jednak ty jesteś bez porównania najlepsza. Ale co mam ci tu kadzić? Daj mi znać, kiedy podejmiesz już decyzję!

Odwróciła się w kierunku drzwi.

- A co z innymi? - zauważyłam. - Przecież sama słyszałaś, co mówiły. Założę się, że połowa z nich wystąpi z drużyny, jeśli ja zostanę.

Evelyn zmarszczyła czoło. - Nie martw się o to - powiedziała. - Mam wszystko pod kontrolą.

- Ależ jasne, że się martwię! - krzyknęłam. - One wszystkie się boją, że się ode mnie zarażą.

- AIDS nie łapie się, ot tak, jak grypy - mruknęła trenerka. - W piątek też nie byłam o tym tak dobrze poinformowana, ale podczas weekendu zadzwoniłam do znajomego, który jest lekarzem sportowym w Monachium. Wszystko dokładnie mi objaśnił. Nie stanowisz żadnego zagrożenia dla zespołu. Dziewczyny też to rozumieją, nawet jeśli bym musiała wbić im to do głowy młotkiem. Muszę już iść. W przeciwnym razie maluchy rozniosą mi salę gimnastyczną. Dopiero co jeden z nich w salce z przyrządami tak skakał na trampolinie, że

uderzył w sufit. Jeszcze się martwię z powodu niewypełnienia obowiązku nadzoru.

Wyszła. Chwilę potem usłyszałam warkot silnika. Przekartkowałam broszurkę. Pod koniec czerwca miał się odbyć w Hesji turniej siatkówki na świeżym powietrzu, w którym mogły wziąć udział drużyny z całego kraju. Brzmiało interesująco. Już w ubiegłym roku czytałam gdzieś o tej imprezie, jednak Evelyn uważała, że jeszcze nie jesteśmy gotowe.

Tego lata najwidoczniej chciała zaryzykować.

„Bez ciebie nie mam po co zgłaszać naszego zespołu”...

Serce zabiło mi szybciej, jednak tym razem nie ze strachu i nerwów, lecz z pełnego oczekiwania napięcia. Byłoby super móc zmierzyć się z innymi drużynami i może nawet wygrać.

„Ale ja mam HIV” - ta myśl znów się pojawiła.

Jednak to nie oznaczało, że nie mogę się już poruszać.

Uprawianie sportu było nawet jak najbardziej wskazane. Wiedziałam, gdzie znajdują się granice moich możliwości.

I czy w ogóle radość z robienia tego, co się lubi, mogła przynieść szkodę systemowi odpornościowemu? Czy pozytywne nastawienie nie umocniłoby moich sił obronnych, tak że wirusowi HIV nie poszłoby ze mną tak łatwo?

Znów rzuciłam okiem na broszurę. Na zastanowienie się miałam trzy tygodnie, ale już teraz wiedziałam, jaką podejmę decyzję.

Słońce świeciło od zachodu i Evelyn spuściła roletę.

- Lepiej? - zapytała.

- Nie mogłabyś raz włączyć klimatyzacji? - stęknęła Renata.

- W tym gracie jej nie ma - mruknęła trenerka. Na podróż na turniej siatkarski wypożyczyła sobie busa. Mimo to nie zmieściłyśmy się do niego wszystkie. Miałyśmy po prostu za dużo bagaży. Aneta z Heike jechały innym autem. Heike od niedawna miała prawo jazdy.

Był wprawdzie dopiero czerwiec, ale na dworze panował niemiłosierny upał. Po długim okresie ulewnych deszczy, wreszcie nadeszło prawdziwe lato.

- Mogłoby być spokojnie o kilka stopni mniej - mruknęła Renata. Otworzyła swój worek i wyciągnęła paczuszkę perfumowanych chusteczek odświeżających.

- Czy to konieczne? - burknęła Kim. - Śmierzą okropnie. Po nich zawsze robi mi się niedobrze. - Obserwowała, jak Renata obciera sobie chusteczką twarz, i pokręciła głową. - Nie rozumiem, jak możesz to znosić. Buzia musi ci tym pachnieć, pewnie długo potem czujesz jeszcze ten zapach. Okropność. - Kim złapała się za szyję i udała, że wymiotuje. Potem szturchnęła mnie w żebro.

- Naddi, masz gumę do żucia? Bo naprawdę robi mi się niedobrze.

Pogrzebałam w torbie i rzeczywiście znalazłam jeszcze jedną pastylkę. Kiedy ją wyjmowałam, wysunął się niewielki obrazek i upadł na podłogę samochodu. Kim schyliła się po niego.

- Och, co to jest? - Na przedniej stronie widniał ukrzyżowany Jezus. Koleżanka odwróciła obrazek. Z tyłu była fotografia jakiegoś chłopaka.

- Andi Fuerst - przeczytała Kim. Pod spodem widniały daty jego narodzin i śmierci. Kim policzyła. - Ludzie! On miał zaledwie dwadzieścia dwa lata! - Oddała mi obrazek.

- Miał AIDS - wyjaśniłam.

Koleżanka spojrzała na mnie: - O cholera!

Potaknęłam głową. Ból z powodu śmierci Andiego znów powrócił. Chłopak został pochowany przed czterema tygodniami. Koniec końców, wszystko przebiegło bardzo szybko, w każdym razie w moim odczuciu. Dostał zapalenia płuc i zmarł w szpitalu. Większość osób z grupy samopomocy nawet nie wiedziała, że Andi był tak ciężko chory. Dziwiliśmy się jedynie, dlaczego nie przychodzi na spotkania: on, zawsze taki zaangażowany i waleczny. Tylko Manuel wiedział o wszystkim i to on przekazał nam później wiadomość o śmierci

Andiego. Gizela i ja byliśmy na jego pogrzebie.

Po tym wydarzeniu chodziłam całymi dniami przygnębiona. Gdy tylko troszeczkę gorzej się poczułam, wydawało mi się, że zaraz rozwinie się u mnie AIDS i że mogę już przekreślić treningi, a przede wszystkim udział w turnieju.

Jednakże badanie krwi wykazało, że mam jeszcze 700 komórek pomocniczych, limfocytów T4. Według lekarza, to dość pokaźna liczba, jak na nosiciela wirusa HIV. Normalnie, zdrowy człowiek posiada tych komórek ok. 1000 lub 1200 w mikrolitrze krwi. Im mniej tych komórek, tym większa podatność na choroby zakaźne.

Lekarz chciał wiedzieć, co robię i jakie lekarstwa przyjmuję. Powiedziałam mu, że do tej pory nie brałam żadnych leków, tylko próbowałam zdrowo żyć i rozsądnie się odżywiać.

W tym czasie zrobiłam się prawie takim samym apostołem zdrowego stylu życia jak moja mama. Bardzo uważała na to, bym codziennie przyjmowała wystarczającą ilość witamin, nie jadła żadnych fast foodów, tylko pełnowartościowe potrawy i bym zawsze się wysypiała.

Oczywiście, zdarzały się dni, kiedy wszystkie dobre postanowienia brały w łeb, jednak najczęściej stosowałam się do nich.

W każdym razie lekarz nie miał żadnych zastrzeżeń co do tego, że nadal trenuję siatkówkę. A to w tej chwili było dla mnie najważniejsze. Już trochę opanowałam strach przed tym, że mogę tak nagle, z dnia na dzień, zachorować na AIDS.

- Musimy na prawo - krzyknęła Renata i tym samym wyrwała mnie z rozmyślań. Evelyn o mały włos nie przeoczyła zjazdu, gdyż zbyt mocno skoncentrowała się na samochodzie jadącym przed nami. Cały czas złościła się na jego kierowcę. Za każdym razem, kiedy zabierała się za wyprzedzanie, on przyspieszał, a bus znowuż nie miał aż takiego przyspieszenia.

- Co za łobuz! - wściekała się Evelyn, zjeżdżając.

Chwilę później jechałyśmy już szosą. Krajobraz był rzeczywiście wiejski: małe wioski otoczone murkami, traktory terkocące po drodze...

Kim studiowała mapę i udzielała trenerce wskazówek, jak ma jechać.

- Dotrzemy najpóźniej za pół godziny - oznajmiła.

- Mam nadzieję, że są tam prysznice - powiedziała Kim. - Jestem złana potem.

Na miejscu okazało się jednak, że warunki nie są tak komfortowe, jak oczekiwałyśmy. Zwyczajna łąka została przekształcona w pole namiotowe. Rozbitych było na niej już kilka namiotów - niewielkie dwu - lub trzyosobowe, takie jak nasze. Poza wozem, w którym znajdowały się toalety, w pobliżu nie było żadnych innych urządzeń sanitarnych. Prysznic

mieścił się wprawdzie w hali sportowej, ale odległość do niej wynosiła około 300 m, a przed nią ustawiała się już długa kolejka ludzi, którzy w tym upale wpadli na ten sam, co my, pomysł. A bezpośrednio przez łąkę przepływał potok, którego brzeg porośnięty był olchą i wierzbą.

- Romantycznie - orzekła Renata.

- O, bardzo! - powtórzyła nieco z przekąsem Kim i zabiła komara siedzącego na jej nodze. - Tutaj na pewno roi się od komarów, które tylko czekają, by nas zaatakować w nocy. - Nagle zamilkła, a ja podchwyciłam jej pytający wzrok.

Chciałyśmy we trzy zamieszkać w jednym namiocie. Po tym, jak pierwsze trudności w drużynie zostały przezwyciężone i Evelyn wyjaśniła wszystkim, że gra w siatkówkę nie niesie ze sobą żadnego niebezpieczeństwa zarażenia się HIV, większość dziewcząt znów zaczęła zachowywać się normalnie. Jedynie Miriam jeszcze się złościła i ciągle mi docinała, aż trenerka powiedziała jej, że jeśli coś jej nie pasuje, to może opuścić zespół. I tak też Miriam zrobiła. Sądzę, że koniec końców, nikogo to szczególnie nie zasmuciło.

Jeśli zaś chodzi o sprawę noclegu na turnieju, to Kim i Renata, po krótkim wahaniu, zadeklarowały się, że będą spać razem ze mną w jednym namiocie. Nikt jednak nie pomyślał o komarach.

Renata głośno powiedziała o swoich obawach: - Czy komary nie stanowią zagrożenia? - spytała. - Gdyby najpierw ukąsiły Nadine, a później Kim albo mnie...

Nawet Evelyn została na chwilę zbита z tropu.

Pokręciłam głową. - Komary nie przenoszą wirusa HIV.

■

Kim, mimo to, była sceptyczna.

Rozumiałam jej nieufność i nie chciałam prowokować kłótni. - Jeśli was to uspokoi, mogę wysmarować się porządnie żelem przeciw ukąszeniom komarów.

Evelyn pstryknęła palcami. - Moskitiera! Można ją przecież dostać w każdym markecie budowlanym! Przedtem gdzieś widziałam jeden, tu, w okolicy. Przejadę się zobaczyć.

Kim i Renata były zadowolone. Zaczęłyśmy rozkładać namiot. Miałam w tym najwięcej wprawy. Ubiegłego lata opiekowałam się grupą maluchów na obozie i tam nauczyłam się rozbijać namioty w okamgnieniu.

- Super to robisz - oceniła Renata. - Ja to bym najpierw musiała przestudiować instrukcję obsługi, a i tak pewnie niewiele bym z niej zrozumiała. Tyle jest tych palików! Myślę, że przyszłoby mi spać dzisiaj w nocy pod gołym niebem.

Porozkładałyśmy śpiwory i dmuchane materace. Tymczasem wróciła Evelyn. Niosła trzy moskitiery.

- Aby żadna z was nie poczuła się poszkodowana - wyjaśniła. - Dlaczego tylko Nadine ma spać spokojnie, bez obawy przed komarami?

Znowu okazała się dyplomatką. Jakoś udało nam się zamontować te siatki w namiocie, chociaż Kim już teraz narzekała na nieład, jaki spowodowały moskitiery.

- Teraz na pewno ani jeden komar nie odważy się tu wlecieć. - Tak, mają siedzieć na zewnątrz - potwierdziła Renata.

Uśmiechnęła się od ucha do ucha i wyrwała kartkę ze swojego notatnika. Nabazgrała na niej piktogram: komara przekreślonego dwiema skrzyżowanymi belkami. Karteczkę zawiesiła nad wejściem do namiotu.

- Mam nadzieję, że komary zrozumieją wiadomość. - Kim pękała ze śmiechu.

- Pomożecie mi rozpakować skrzynkę? - zasapała Evelyn z sąsiedniego namiotu. - Czy wolicie ciepłą mineralną? - wskazała na strumyk, w którym już inne drużyny chłodziły swoje napoje. - Dobry pomysł, co?

Kim i ja zaciągnęłyśmy skrzynkę z wodą mineralną nad potok i po chwili szukałyśmy na brzegu odpowiedniego miejsca, gdzie mogłybyśmy ją wstawić. Kim zanurzyła w wodzie rękę.

- Przyjemnie chłodna - orzekła. - Co powiedziałałybyś na kąpiel, Nadine?

Wyżej pluskało się już kilka dziewcząt. Potok był szeroki jedynie na kilka metrów i niezbyt głęboki. Kim i ja nie wahałyśmy się długo. Przebrałyśmy się w kostiumy kąpielowe i zaczęłyśmy brodzić w strumieniu. Renata przysłała za nami w T - shircie i szortach.

- Uch, ale zimno!

Dotykała wody dużym palcem u stopy. Kim i ja byłyśmy już zanurzone i bezlitośnie ją spryskałyśmy.

- Ale jesteście wredne! - wrzasnęła. - Jeśli nie przestaniecie, to jutro będę rzucać każdą piłkę za boisko.

- Odważ się tylko - parsknęła Kim. - W końcu przyjechałyśmy tu po to, by wygrać!

Pierwszy mecz miał się odbyć następnego ranka o dziesiątej. Jeszcze nie wiedziałyśmy, z kim będziemy grać i jak silna będzie ta drużyna. Na dzisiejszy wieczór zaplanowano koncert rockowy, którego nie chciałyśmy opuścić.

- Żebyście tylko nie siedziały do późna - nakazała nam surowo Evelyn. - Biada, jeśli przebimbacie całą noc i jutro sknocicie wszystko. Wtedy byłby to pierwszy i ostatni raz, kiedy zgłosiłam was do udziału w tak ważnej imprezie.

Woda w strumieniu rzeczywiście była trochę zimna i po kwadransie miałyśmy dość kąpieli. W kostiumach przespacerowałyśmy się po łące, by ocenić boiska. Na ogromnym placu rozciągniętych było ponad trzydzieści siatek - pojedyncze pola, na których następnego dnia i w niedzielę miały ze sobą walczyć drużyny. Przeważały zespoły męskie, ale można było dostrzec także żeńskie. Przyglądałyśmy się z zazdrością treningowi kilku kobiet z grupy A.

- Szaleństwo - orzekła Kim. - Nigdy nie dojdziemy do takiego poziomu. No, może, za kilka lat. One też są trochę od nas starsze.

„Za kilka lat” - po tych słowach poczułam bolesne ukłucie w sercu. O ile w ogóle będę mogła wtedy jeszcze grać.

- Chodźmy dalej - naciskała koleżanka. - Zajrzyjmy do namiotu.

W dużym namiocie nic specjalnego się jeszcze nie działo. Zespół wnosił właśnie na scenę swoje instrumenty. Kim przeprowadziła jeszcze pobieżną inspekcję budki z jedzeniem i wozu sanitarnego. Potem pobiegłyśmy z powrotem na naszą „działkę”.

- Jutro rano musimy zameldować się u prowadzącego turniej - powiadomiła nas Evelyn. Była wyraźnie podenerwowana, chociaż rozgrywki nawet się nie zaczęły.

Kapela rockowa dała wieczorem czadu. Chętnie zostałybyśmy na koncercie dłużej, ale trenerka zgarnęła nas dokładnie o północy z powrotem do naszych namiotów.

- Evelyn rządzi silną ręką - poskarżyła się Renata. - Akurat poznałam fajnego chłopaka z Halle.

- Ej, powinnaś myśleć o meczu, a nie o chłopakach - zauważyła oburzona Kim.

Przez szparę do namiotu przedarł się księżyc, więc w jego świetle zobaczyłam, jak Renata pokazuje Kim język.

Wyciągnęłam się na materacu i założyłam ręce pod głowę. Powietrze było teraz przyjemnie ciepłe, nie tak duszne jak za dnia. Dookoła cykały świerszcze, a z dużego namiotu dobiegała jeszcze muzyka.

- Czy w ogóle wygramy? - rozmyślała głośno Kim.

- Evelyn mówiła, że to już byłoby spore osiągnięcie, gdybyśmy dotarły do końcowej rozgrywki - odezwała się Renata. Westchnęła. - Mam przeczucie, że jutro przegramy.

- Bzdura - odparła Kim. - Nie zapominaj, że mamy Nadine. Kiedy ona rozgrywa, przeciwnik może się już pakować.

Uśmiechnęłam się.

- Chcę spać - zdecydowała Renata i odwróciła się w drugą stronę. - Wciągnij brzuch, Kim.

- Już to zrobiłam.

Nazajutrz, już wcześniej rano było bardzo ciepło. A o godzinie dziesiątej zrobiło się bardzo gorąco, prawie nie do wytrzymania. Zameldowałyśmy się u kierownictwa turnieju i dowiedziałyśmy się, z którymi drużynami będziemy walczyć.

W pierwszych rozgrywkach nie wiodło nam się najlepiej. Może przyczyna tkwiła w otoczeniu, do którego nie byłyśmy przyzwyczajone, albo w upale. Albo po prostu prześladował nas pech. W każdym razie popełniałyśmy podczas gry błędy, jakie nam się nigdy wcześniej nie zdarzały. Kim i ja wchodziłyśmy sobie ciągle w drogę, piłka leciała w bok, a Evelyn raz po raz rzedła mina.

- Jeśli tak dalej pójdzie, to możemy już dziś po południu zbierać się do domu - ofukiwała nas w czasie przerwy. - To wstyd patrzeć jak gracie. Można by pomyśleć, że niczego was nie nauczyłam.

Jednak po południu passa się odwróciła. Szczęście było po naszej stronie. Możliwe też, że przeciwniczki nie doceniły nas. Świetnie wychodziła nam rozgrywka i ciągle udawało nam się zblefować zawodniczki przeciwnej drużyny.

Evelyn promieniała. - Wiedziałam! Jesteście super!

- Rozgrzałyśmy się - powiedziała Kim i mrugnęła do mnie porozumiewawczo.

Wieczorem dosłownie padłyśmy ze zmęczenia, ale doszłyśmy do półfinału kobiet grupy C.

- Ludzie! - stęknęła Renata, rozcierając kolana, na których widoczne były odcisnięte ślady od ochraniaczy. - Myślę, że już więcej nie będę w stanie podnieść nogi. Jestem niewyobrażalnie wykończona.

Pluskanie w strumyku, które nastąpiło po grze, było wprawdzie odświeżające, ale potem czułyśmy się ciężkie jak ołów. Evelyn namaściła nas olejkami do masażu, próbując tym samym rozluźnić trochę nasze napięte mięśnie.

W dużym namiocie znów odbywała się jakaś impreza, lecz żadna z nas nie miała ochoty gnieździć się w duchocie. Zostałyśmy więc na naszej łączce, słuchałyśmy muzyki z magnetofonu i obserwowałyśmy rozgwieżdżone niebo. Renata, mimo zmęczenia, ulotniła się później, by spotkać się z chłopakiem z Halle, a ja z Kim zostałyśmy same w namiocie.

- Ani słowa Evelyn - przykazała Kim. - Wpadłaby w złość.

- Będę się pilnować - odparłam.

- Co planujesz robić w wakacje? - spytała. - Wyjeżdżasz gdzieś?

Wiedziałam, że koleżanka chce pojechać do Hiszpanii.

- Wyjadę z rodzicami na dwa tygodnie - odpowiedziałam. - Do Norwegii. Potem

popracuję trochę w poradni dla chorych na AIDS.

Manuel pytał się mnie, czy nie chciałabym pomóc mu w czasie wakacji. Latem mieli mniej ludzi. Zgodziłam się więc. Jak bardzo ważna była praca w poradni, zdążyłam się już przekonać.

- A jednak ugryzł mnie komar - powiedziała ze złością Kim i podrapała się w nogę. - Chyba diabeł tylko wie, jak te bestie się tu dostają, chociaż rozwiesiliśmy moskitiery. Nad, jak sądzisz, dojdziemy do finału?

- Jeśli będziemy grać tak jak przedtem, to możliwe, że tak.

- Dzisiaj przed południem było rzeczywiście coś nie w porządku. - Kim ziewnęła. - Evelyn o mało co nie dostała ataku szału.

Następny ranek rozpoczął się od specjalnej gimnastyki, jaką zafundowała nam trenerka. Biegałyśmy i robiłyśmy ćwiczenia rozciągające. Zakwasy były po tym jeszcze gorsze, ale Evelyn nie miała litości.

W półfinale przegrałyśmy pierwszego seta. W drugim świetnie wyrównałyśmy i wygrałyśmy. Był remis. Evelyn wyglądała na spiętą. Panował większy upał niż poprzedniego dnia. W przerwie Kim połała się wodą mineralną. Chyba pomogło, bo wygrałyśmy trzeciego seta. Wprawdzie tylko z przewagą dwóch punktów, ale jednak!

- Hurra, hurra, jesteśmy w finale! - Wydawałyśmy głośne okrzyki i tańczyłyśmy z ogromnej radości. Aneta musiała pójść do wozu sanitarnego, gdyż przy wyskokach zwichnęła sobie nogę. W grze miała ją zastąpić Estera.

- Finału jeszcze nie wygrałyśmy - powiedziała Evelyn, która z wymiany nie była specjalnie uradowana. Aneta grała lepiej od Estery. - Ale to wspaniale, że już tak daleko zaszyłyśmy. W końcu po raz pierwszy bierzemy udział w tej imprezie. Niezły początek kariery!

Na obiad niewiele dostałyśmy. Nasza trenerka, tak czy owak, bardzo zwracała uwagę na to, byśmy nie objadły się pieczonymi kiełbaskami w sosie curry albo inną tłustą potrawą, po której czułybyśmy się ociężałe. Finał zaplanowany był na godzinę czternastą. Już na kwadrans przed czasem stałyśmy w gotowości. Wszystkie byłyśmy ogromnie podekscytowane.

- Na pewno dam plamę! - zawodziła Renata i ukradkiem rozejrzała się za swoją nową miłością z Halle. Jego drużyna dotarła do półfinału, ale potem została wyeliminowana.

- Musicie dobrze zagrać - nakazała nam Evelyn. - Obojętnie, czy wygracie, ale musicie dać z siebie wszystko, rozumiano?

Nasze przeciwniczki były bardzo dobre. Już w ubiegłym roku zajęły w klasie C

dziewcząt pierwsze miejsce i zyskały już, można tak to określić, rutynę w wygrywaniu.

- Nie sądzę, że mamy z nimi jakąś szansę - powiedziała Kim, wachlując się gazetą.

Z głośnika rozległa się zapowiedź. Widzowie zebrali się wokół placu. Powietrze aż drgało od upału, kiedy zajęłyśmy miejsca. Nasze przeciwniczki także ustawiły się na boisku.

Gwizdek. Gra rozpoczęła się.

Uderzenie. Przyjęcie. Podanie.

Drugi zespół był dobry i, chociaż udały nam się rzuty, wciąż miałyśmy o kilka punktów w plecy.

Pierwszego seta wygrały przeciwniczki.

- Beznadzieja - sarknęła Renata. - Pokonają nas, bez dwóch zdań.

Evelyn dała nam pospiesznie jeszcze kilka wskazówek i zwróciła uwagę na parę słabych punktów zawodniczek drugiej drużyny.

Zdecydowałam się zastosować moją technikę smecza*.

To było wprawdzie ryzykowne, bo czasami piłka obierała inny kierunek niż zamierzony, jednak teraz liczyło się wszystko albo nic. Mogłyśmy najwyżej przegrać.

W pierwszej połowie drugiego seta panował remis.

Potem prowadziłyśmy ostro. Dziewczyny z drugiej drużyny cały czas nas doganiały. Piętnaście do piętnastu. Podanie dalej. Potem przeciwniczki popełniły jeden za drugim dwa błędy. Wygrałyśmy drugiego seta.

Widownia szalała.

Kilka sekund przed rozpoczęciem trzeciego seta ogarnął mnie naraz spokój. Moje podniecenie znikło jak kamfora, a umysł był całkowicie jasny. Opanowało mnie dziwne, podniosłe uczucie. Napięcie panujące dookoła „zageściło się” i zdawało się spływać na mnie. Odniosłam wrażenie, że zmieniło się ono w energię, bo nagle poczułam w sobie ogromną siłę. Wiedziałam, że jestem w szczytowej formie.

Nasze przeciwniczki zmieniły taktykę i narzuciły teraz szybsze tempo gry niż w poprzednich setach. Piłka - z prędkością błyskawicy - leciała od jednej zawodniczki do drugiej, ledwo co można było za nią nadążyć oczami.

Piłką, przeleciawszy przez siatkę, zaskoczyła Kim, która wybiła ją w górę. Renata zdołała ją jeszcze odbić, jednak piłka poleciała do tyłu po skosie. Skoczyłam wysoko i odebrałam ją, choć było to prawie niemożliwe, a jednak! Wzbiła się ponad siatkę i wylądowała w miejscu, w którym akurat nikt nie stał. Prowadziłyśmy.

Cały mecz utrzymany był w takim zawrotnym tempie. Nie pozostawałyśmy dłużne

*Piłka odbita ostro z góry na dół (przyp. tłum).

naszym przeciwniczkom. Wciąż jeszcze czułam w sobie tę niepohamowaną moc. Skakałam wyżej niż wcześniej, rzucałam dalej i reagowałam szybciej.

Nie wiadomo, jak to się stało, ale wygrałyśmy trzeciego seta więcej niż trzema punktami.

- Wspaniale, super! - Renata rzuciła mi się na szyję. - Dobra robota, Nadine!

Było już po wszystkim i rzeczywiście wygrałyśmy. Pot łał się ze mnie strugami, a kolana trzęsły się pode mną. Wszystkie dziewczyny otoczyły mnie kółkiem, obejmowały.

- Byłaś niezastąpiona, Nadine.

- Najlepsza!

- Co za szaleństwo!

Evelyn promieniała. - Zdobyłyśmy pierwsze miejsce, Nadine!

Dziewczyny zaczęły przekazywać sobie butelkę bezalkoholowego szampana. Najpierw ja upiłam łyk, a po mnie po kolei piły z tej samej butelki moje koleżanki. Poczułam niepohamowaną radość. Nie tylko dlatego, że wygrałyśmy mecz.

Znów należałam do nich.

Nie brzydziły się mnie już.

Znów mnie całkowicie zaakceptowały, chociaż jestem nosicielką wirusa HIV.